

18

14842

El. Owsenkowa

ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom ośmdziesiąty ósmy.

Miejska Biblioteka Pubblica
5109-50
Białystok

PAN I SZEWC.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha 1. 10.

1875.

WARSZAWA.

W księgarni Michała Glücksberga.



Powieść ta napisana była dla Athenaeum, które przez lat dziesięć wydawał autor w Wilnie, chociaż zamieszkiwał na Wołyniu. Mieściła się ona w roczniku 1849 w tomach I. — II. i III. Osobno odbita w r. 1850, obrazek małych rozmiarów przeznaczonym był dla ożywienia nieco zbioru, w którym naówczas więcej prac poważniejszych się mieściło, bo Athenaeum z Biblioteką Warszawską było dla nich naówczas jedynem schronieniem... Pierwsza praca Wł. Syrokomli w niem pomieszczoną została... Do współpracowników liczyły się najzasłużeńsze imiona ks. Hołowińskiego, ks. Stan. Choleńskiego, M. Grabowskiego i wielu innych. — Jakaś tradycja, pochwycona z ust starego szambelana Płotnickiego, służyła za pierwszą ośnowę powieści. — Podobnych podań u nas o dziwnych losach rodzin i stosunkach, które się z odrębności stanu szlacheckiego wywijały, mamy bardzo wiele... Krążą one jeszcze dziś z ust do ust podawane, tam gdzie do tradycji i opowiadań należyta przywiązują wagę. W nich, jeżeli nie prawda historyczna, to poczucia i kierunki myśli a ducha naszego żywo się odbijały.

Marzec 1875.
Drezno.

Na Starem mieście w Warszawie, w kamienicy z pozoru starej, dziś opuszczonej i wedle dawnego zwyczaju noszącej na czele znak św. Jana, po którym odróżniano ją od sąsiednich domostw; chmurnego dnia późnej jesieni gromadził się w podwórzu, ciemnej bramie i dookoła w ulicy lud zaciekawiony.

Co chwila przybywali zwiększając kupę próżniaków, to chłopcy wysłani przez majstrów na miasto, to kucharki z kosztami na rękę, to żydowstwo czyhające na zysk tam nawet, gdzie nie ma do niego podobieństwa, ta hałastra odarta, która nie wiedząc co z sobą zrobić i gdzie się podziać, rada była, że miała powód czas jakiś tu postać w błocie pod kapiącą rynną, z rozziwioną gębą, pytając tych, którzy ją popychali i naciskali: co to się stało? co to takiego?

Nikt dokładnie o powodzie natłoku nie wiedział, żaden krzyk nie zapowiadał walki, żaden widok nie tłumaczył tego wezbrania ciekawości. Ścisł tylko we wrotach większy niż gdzieindziej wskazywał, że przedmiot ciekawy znajdować się musiał wewnątrz kamienicy. Ale i tam cicho było, i gwar tylko tłumu chwycił wyteżone ucho nowo przybyłych. Jedni powiadali sobie po cichu, że w domu tym mąż zabił żonę; drudzy, że żona zabiła męża; inni, że mąż i żona potruili swe dzieci; inni nareszcie, że schwytano złodzieja itp. Nic nie wiedząc i niewiele widząc, ciekawi przybysze uparcie naciskali się przed kamienicą, oczekując sami nie wiedzieli czego, a oczekując z cierpliwością miejskich próżniaków, dla których sprawą najpilniejszą jest sprawa cudza, co by ich nie obchodzić nie powinna.

— A co? pytał gruby rzeźnik sąsiada swego szewca w skórzanym fartuchu — a co?

— A — poczekajmy no, to się coś dowiemy.

— Ale jak myślicie, co też to być może?

— Albo ja wiem! pewnikiem zabójstwo nowe. Bieda żeśmy przyszli tak późno, teraz się ani docisnąć, ani zobaczyć, ani dowiedzieć.

— A poprobujeż-no panie bracie! idźcie no tylko za mną, dobre mam łokcie, będę kuksał, przedrzemy się taki do bramy.

To mówiąc rzeźnik, poczał na prawo i lewo tak robić rękami, tak dusić i popychać, że kilka kroków naprzód się posunął; a szewc, korzystając z uczynionej próżni, popłynął za nim. Pierwszy odzywał się do tłumu łokciami, drugi ustami, wołając: puszczajcie no mnie, bom tam potrzebny.

Nie bez wielkiego mozolu dobrali się jakoś do samych wrót, które pominawszy, w gestszym niż na ulicy był ścisku, uwięźli. Rzeźnik już nawet rady dać sobie nie mógł. Szewc przyszedł mu w pomoc, odzywając się coraz głośniejszymi, ośmielonymi powodzeniem. — Co do licha! rozstapcież się! muszę przecie przejść!

Argument ten lepiej pomógł niż siła, i tłum uwierzywszy majstrowi, trochę się rozstąpił; znów więc w pocie czoła dwaj ciekawsi i niecierpliwszi posunęli się ku drzwiom niewielkim, roztwartym, wiodącym jak się zdawało do lichej izdebki, której jedno małe kraciaste okienko wychodziło w ulicę. Drzwi te otoczone były szczęśliwymi co najpierwsi przybiegłszy, to najlepszymi widowiskami miejsce zajęli.

Wspomagając się na przemiany, szewc z rzeźnikiem zbliżyli się do progu, a tu bez wielkich ceregielów usuwawszy przytomnych stanęli nareszcie u celu.

Izdebka, którą ujrzeli przed sobą, była ciemna i pusta; w początku ciężko nawet do mroku w niej panującego przywykające oczy rozeznąć nie mogły, co w niej tak ciekawość pobudzało. Aż nareszcie po chwili rzeźnik i szewc razem zobaczyli zbyt pospolitą nędzę, której widok nie wart był może tylu szturchańców i tylu wykrzykników.

W wilgotnej, sklepionej komórcie, jedno tylko w bra-

mę mającej wyjście, jedno szczupłe więzieniowe kraciaste okienko w grubym murze głęboko wyciosane; na mokrej i czarnej podłodze, potrząsionej słomą, leżał trup młodej jeszcze kobiety, która w okropnym cierpieniu życie skończyć musiała. Wypreżone ręce, skrzywiona twarz przedśmiertną boleścią, słupem stojące oczy, których nie było komu zamknąć, opowiadały o tej straszliwej godzinie, w której duch ciała bezsilnie opuścił. Znać było wielką walkę duszy, która musiała opierać się chorobie i śmierci, nim uleciała z tej nędzy na świat lepszy. Łatwo było odgadnąć, co tę kobietę trzymało przy życiu; bo tuż przy niej na posłaniu dwoje małych dzieciaków lichy odzianych, bledych i wynędzniałych, płacząc i tarzając się, wołały do umarłej: matko, matko! wstań! wstań mamuniu! chleba, daj nam chleba!

To dwójko biednych sierót zdawało się być jednego wieku, i twarze chłopiąt, podobne jak dwie krople wody, powiadały, że razem na świat przyjść musiały, Szarpali oni matkę budząc ją i płacząc, niekiedy poglądali na tłum stojący we drzwiach ściśnięty, jakby ten ich przerażał; wzrok odwracali z trwogą od progu i wołali coraz bardziej przenikającym głosem: matuniu! matuniu!

Przecucie powiadało sierotom, że tłum ten był zwiastunem ostatniego i największego dla nich, a niepojętego im jeszcze nieszczęścia.

Izba, w której się to działo, okazywała najostateczniejszą nędzę; nie w niej sprzętów, nie coby obiecywało chleb powszedni nawet na jutro. Słoma, na której leżała nieszczęśliwa matka, była nawpół przegniła; ubranie umarłej w łachmanach; dzieci lepiej trochę odziane, ale i ich sukienki ze szmat się składały pozszywanych tylko dla ogrzania. W kącie na ławie drewnianej wały się: miska czarna i próżna, garnek rozbity, dwie łyżki drewniane i nóż w prostej drewnianej oprawie, jakiego po wsiach do krajania chleba używają. Na ścianach po ćwiekach wisiały podarte szmaty odzienia okryte kurzem, rzucone na ćwiek z rozpaczą, bo już

się nawet na okrycie nie przydały. U pieca dawno zgasłego walał się wygrzebywany popiół, w którym ani jednego nie było już węgla; łupiny kartofli zgryzione do szczeru okrywały podłogę — w dzbanie wody nie stało, — leżał wywrócony i suchy.

Blade twarze sierót niewiele się różniły od złotego, straszego umarłej oblicza; wychudłe ich rączka, zbrukane włosy, zaczerwienione od łez oczy, rozповідаły o okropnej przeszłości. Sama jedna, bezsilna, z dwójgiem dzieci, biedna matka umarła ze śmiercią walcząc bez kropli wody, bez kawałka chleba! Żadne z małych chłopiąt do klamki nawet dostać nie mogło, żeby drzwi otworzyć i o ratunek zawołać.

Jakaż to straszna, jak straszna śmierć tu być musiała! Lecz wreszcie wśród jęku dzieci skonała uboga niewiasta, a jakiś promyk nadziei zaświtał może u łóża śmierci; bo wyprężona jej ręka trzymała krzyżyk moisiezy, wskazując że nie umarła bez nadziei w Bogu.

Szewe i rzeźnik w progę stanawszy, popatrzywszy, przeczytali sercem pocziwem tę kartę wydartą z wielkiej, niezbadanej, tajemnic pełnej księgi życia ludzkiego. Obu im łzy się zakreśliły na widok małych sierót, i różne myśli poczęły zwiijać się po głowie; żaden jednak z nich nie miał jeszcze odwagi uchwycić w lot myśl dobrą.

— Co to za los czeka to biedactwo? mówił sobie szewc, oparłszy się o drzwi. — Wezmą gdzie może do jakiego szpitalu? dziad jaki wyuczy włóczęgi, a strzeż Boże i wszystkiego złego!

— Pójdzie to w świat, myślał rzeźnik, i będzie żyło, biedowało, męczyło się, póki może podobna tej śmierć oczów nie zapluszczy.

— Tak to z nami!

Wtem szmer dał się słyszeć w ulicy, i pociśnieni od tłumy szewe i rzeźnik obejrżeli się ku wrotom.

Piękna karetka bombiasta usiłowała przebić tłum i minąć zbiegowisko, ale na próżno woźnica batem sma-gał, krzyczał, konie się spinały, lokaje rozpychali, nie było podobna przebrnąć to morze ludu ściśniętego.

Głowa pięknej kobiety ukazała się przez spuszczoną taflę powozu. Blond włosy pudrem śnieżnym okryte, w koronki, kwiaty, pióra i świecidełka ubrane, otaczały śliczną różową, białą, uśmiechniętą twarzyczkę z dwójgiem oczów niebieskich. Kolce perłowe z brylantami, piękny naszyjnik podobny, suknia gołębiego koloru jedwabna, strojna w różowe wstęgi, zdobiły piękną panią.

Spojrzała mdlejącymi oczkami na lud i szybko cofając się w głąb karety, spytała lokaja:

— Larose, dowiedz-że mi się co to jest? czemu nie jedziemy?

— Okropny ścisk JW. Pani! odparł Larose, zdejmując stosowany galonowany, jak suknia jego, kapelusz,

— Cóż to jest?

— Nie wiem, JW. Pani!

— Kiedy stać musimy, pójdź-że mi się dowiedz!

Larose posłuszny podskoczył, ale zanadto zaufał galonom swej liberji i potężnemu głosowi, którym starał się lud rozpychać. Musiał wreszcie użyć tego środka co rzeźnik, i nie łatwo za jego pomocą nawet dostał się do drzwi izby, która otwarta jeszcze wzbudzała tłumów dziwowisko. Tu rozpytawszy się nieco, powrócił co najrychlej do pani siedzącej w karecie i z nieukontentowaniem widocznym zagryzającej usta.

— Cóż tam? spytała.

— To JW. Pani głupstwo — rzekł Larose pogardliwie machając ręką; jakaś uboga kobieta umarła w tej kamienicy i dwoje chłopiąt bliźniąt zostawiła. Zwyczajnie hałastra się gawroni. — Ruszaj panie Tomaszu!

Ale łatwiej to było powiedzieć niż zrobić. Pan Tomasz z miejsca ruszyć nie mógł, jak wprzód. Pani posłuchała lokaja, podumała, poruszyła głową i zawołała: A cóż?

— Nie można przejechać.

— No, to zawrócić!

— Ba! gdyby można zawrócić, dawnobym to zrobił, rzekł stangret z mrukiem.

— Ale cóż z tego będzie? niecierpliwac się wołała pani Larose! rozpedźcie tych ludzi!

Larose z towarzyszem rzucili się w tłum, ale na próżno; każdy się wprawdzie tulił i ustąpić pragnął, ale nie było sposobu tyle miejsca zrobić, ile go powóz potrzebował; bo gdy z jednej strony lokaje trochę rozepchnęli ciekawych, z drugiej tłum się naciskał. Kilka minut ubiegły wśród niecierpliwych zżymań pani, która miała już podnieść taflę, żeby wilgotne powietrze nie rozpuściło jej pracowicie ułożonych pukli, gdy nowa postać zjawiała się u karety, wprost pięknej niecierpliwiej. Był to siwy starzec Kapucyn, który tylko co wyszedł z izby, gdzie leżało ciało umarłej i płakały sieroty. Zbliżył się on pod powóz i pozdrowił piękną panią pobożnem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— A to wy, Ojcie Serafinie? zawołała kobieta. — A! zmiłujcie się, czy nie potraficie mnie wyrwać z tej niewoli? — A! tak mi pilno! tak pilno!

Starzec popatrzał na nią zbladłemi oczyma, w których się łza kręciła, i odparł pocichu:

— Powinnabyś pani podziękować Bogu, który cię tu sprowadził.

— Za co? mój Ojcie!

— Masz sposobność zrobić dobry uczynek, który ci Bóg na wielkim i strasznym sądzie policzy.

— A! dam chętnie jałmużnę! odparła piękna pani, szukając woreczka, w którym jasne brzękało złoto; dam chętnie cokolwiek na te sieroty, ale mi pomożecie wyrwać się z tego tłumu. Co za powietrze!

— Cóż tu pomoże twoja jałmużna? rzekł smutnie Kapucyn. Tu dwoje biednych sierót leży na zgniłej słomie, a nikt w Imię Chrystusa-dziecięcia nie poda im zbawczej ręki.

— Ale cóż ja poradzić mogę na to, Ojcie Serafinie kochany?

— Możesz wziąć sieroty! rzekł Kapucyn.

— Jak to?

— Jak? wziąć i wychować sieroty, powtórzył Ojciec Serafin. Piękna pani słuchała i zdawało się, że rozumieć nie mogła.

— A jeśli nie oboje, to jedno przynajmniej.

Na twarzy kobiety zarysowało się skłopotanie; odmówić nie chciała, posłuchać nie mogła.

— Opatrzę sieroty, rzekła ciszej.

Kapucyn zamilkł i westchnął.

— Chęcie, zawołał po chwili żeby wam Bóg pomagał; a gdy do was w postaci nędzarza, sieroty, Bóg zapuka, wy go zbywacie — złotem. Ej! pamiętajcie, pamiętajcie, że Bóg za wasze modlitwy może także złotem tylko zapłacić. Da wam bogactwo, ale odmówi szczęścia i spokoju duszy. To mówiąc chciał odejść, gdy piękna pani jakby nagle myśl lepsza przeszła jej przez utrefioną główkę, odwróciła się ku niemu wychylając:

— Ojcie Serafinie, zawołała — Ojcie Serafinie! Kapucyn spojrzał na nią i wstrzymał się.

— Przyszlicie do mnie jedno z tych dzieci — zajmę się jego wychowaniem i losem.

— A Bóg ci dobry uczynek w trójnasób zapłaci! odpowiedział starzec z uczuciem, i szybko posunął się ku drzwiom kamienicy.

W tej chwili jakimś trafem osobielszym, jak gdyby tłum czekał tylko na to, by się rozstać i zrobić miejsce powozowi, lokaje ujrzeni przerzedzający się ściśk, i konie same zwolna postępować zaczęły ulicą. Piękna pani podniósłszy taflę, pojechała dalej; Ojciec Serafin wszedł do ciemnej izby. Skupieni u drzwi zrobili mu miejsce z uszanowaniem. Tu już pocziwy starzec dwojga dzieci przed chwilą płaczących nie znalazł.

— Gdzie są dzieci? zapytał.

— Ot tu! ot tu! zawołały kilka głosów. — Jedno wziął rzeźnik Bartłomiej, drugie majster Maciej.

— Czekaście! czekajcie! wstrzymał ich siwy Kapucyn. Co myślicie robić z temi dziećmi?

— A co, rzekł naprzód szewc, całując w rękaw księdza, i tuląc dziecię, które miał na ręku — ja nie mam dzieci, Ojcie Serafinie; godzi mi się wziąć sierotę, bo to obraz Syna Bożego; — będę chował jak swoje.

— A Bóg ci zapłaci! rzekł Kapucyn.

— To już dość że dziecko będę miał, odparł szwec, drugie pan Bartłomiej bierze do siebie, choć to ma swoich kilkoro; ale jakże to biedactwo tak porzucić — toć to zginie marnie.

— Panie Bartłomiej! odezwał się Ojciec Serafin, a gdyby to dziecie, któreście wzięli, znalazło bogatszego i wolniejszego niż wy opiekuna?

— Gdzie? spytał oglądając się rzeźnik.

— Ja mu go wyszukać mogę.

— Alboż to u mnie z moimi dziećmi będzie mu źle?

— Uchowaj Boże! ale wam może być przyciężko, macie swoich kilkoro.

— E! gdzie się pożywi troje, pożywi się i czworo.

— Ale mu losu nie dacie?

— A któż mu go da?

— Widzieliście ten powóz, który tędy tylko co przejechał. — Pani go bierze na wychowanie.

Rzeźnik głową pokiwał. — To to państwo jakieś! Wiecie Ojcie na czym się to kończy pańska opieka nad sierotą? Ot, dadzą do kuchni i zwała się to w kącie; a u mnie z moimi dziećmi, to się wychowa jak moje własne. Losu to mu nie dam, ale go pracować nauczę.

— Nie chcę wam dobrej myśli odbierać, rzekł Kapucyn. Bóg chęci pocziwe policzy za skutek; ale któż wie? może tam dziecku lżejszy chleb, słodsze życie zgotowane. Chcielibyście stanąć losowi i Opatrzności Bożej na przeszkodzie?

— Panie Boże uchowaj! Jak chcecie i rozkazacie Ojcie Serafinie, jak się wam podoba. — Jeśli mi powiecie oddać, oddam dziecko; ale Bóg widzi że mi go żal. Pańska opieka oczy wypieka! Chleba mu i u mnie nie zabraknie; — ale jest coś droższego od chleba, pocziwość. Tej tam zkad mu będzie wziąć, kiedy go za oczy dadzą na płatne ręce? Zresztą, Ojcie, jak się wam widzi.

— Mnie się widzi, pocziwy Bartoszu, że ja tam sam, póki Bóg da życia, na sierotę naglądać będę, a choć to u panów różnie bywa, nie powinniśmy zmarnować daru Bożego. Pójdźcie no za mną z tem dzieckiem.

Szwec, który jak widać lękał się bardzo, żeby mu Kapucyn dziecka nie odebrał, nim się Ojciec Serafin rozmówił z rzeźnikiem, umknął zgrabnie, i przebiwszy się przez tłum posunął żywo ku domowi, tuląc sierotę do swego skórzanego fartucha.

Maciej był ubogi, ale pocziwy i pracowity; dostała mu się szczęściem równie dobra żona, której jedynem strapieniem było, że dzieci nie mieli. Przy pracy chleb choć nie najbielszy, był zawsze, w zimie nie marzli, odziać się przystojnie było za co, a jeszcze i w skrzyni zapaśnych kilka talarów w węzłku bywało; ale to wszystko nie cieszyło ich, bo życie płynęło bez celu, starość przychodziła straszna, samotna — dziecka nie mieli. Kilka razy ofiarowała się pani Maciejowa do Częstochowy, do Sokala, do św. Antoniego, zawsze napróżno.

Maciej więc, jak drogi dar Boży, przyjął sierotę, którą niósł żwawo spiesząc do domu. Wkrótce też stanął na progu, i ani się spostrzegł, że żona zwabiona w ulicę zgielkiem, czekała go w bramie. Dopiero natrąciwszy się prawie na nią, rozśmiał się na całe gardło serdecznie, pocziwym uśmiechem ubogich.

— A to co? zawołała Maciejowa, cofając się trochę przestraszona.

— A ot co jest! Pan Bóg nam dał dziecko!

— Co? zkad? jakie dziecko?

— Nieszczęśliwą sierotę — chłopczyka! Ale to potem o tem, naprzód trzeba tę biedotę nakarmić, napoić, ogrzać, odziać, bo to ledwie dycha.

Pani Maciejowa skwapliwie rzuciła się otwierać drzwi izby, nad której oknem wielka żółta tablica z czarnym butem i kutasem ogromnym wisiała.

— Pokaż-że no, pokaż, zawołała. — A! jak Boga kocham piękny chłopiec! Ale cóż to za nędzniatek! Chryste Panie! jaki żółty, by kość.

A gdy dziecie się rozplakało, porwała je namiętnie i przytuliła do piersi.

— Hej! krzyknęła na chłopca, żwawo Jacku po mleko, bo bułkę, po jaja — naści dwa złote.

Maciej śmiejąc się, wzięwszy w boki, stał przed swoją jejmością i szeptał:

— A co? prawda że dobrze zrobiłem, że ci to niebożatko przyniósł? he? a nie podziękujże — że mi jejmość?

— Niech ci Bóg płaci! daj ci Boże zdrowie! ściskając męża żwawo poczęła mówić majstrowa — ale powiedz — że no mi, wszakżeś go nie ukradł, chowaj Boże! gadajże jak to było?

Dzieci płaczące ciągle utulać się poczynają pieszczołami szewcowej, a Maciej siadłszy na łóżku rozpowiadał wszystko jak było, i w jakim był strachu, żeby mu Kapucyn nie odebrał sieroty. — Nie prawdaż? do dał w końcu, że dobrze mi się udało!

— Dobrześ zrobił, i taki nie godziło się inaczej — przerwała zarumieniona od radości majstrowa. To cię tam Bóg posłał w dobrą godzinę. Nie mamy swojego dziecięcia, przybierzemy sobie sierotę. — A — patrz no — dodała, wszak to nawet nieszpetyny będzie chłopiec — czy niebieskie, nosek mały, i gdyby nie przy nędznienie, toby to nawet na coś pańskiego wyglądało.

Szewe zupełnie podzielał zdanie żony, i oboje usiadłszy na łóżku, na którym złożyli sierotkę, poczęli marzyć o niebieskich migdałach swojej przyszłości. Że też nigdy człowieka srogie nawet doświadczenie nie oduczy tych zawodnych rachunków na jutro. Bo kiedyż się pochwalić możemy, żeśmy przyszłość odgadli?

Z długiej narady wypadło, że szewe miał nazajutrz rano pójść się dowiedzieć, co to była za jedna ta niewiasta nieszczęśliwa, której się tak mizernie opuszczonoj zmarło.

Maciejowa całą noc nie zmrzuryła oka i siedziała nad dziećciem. Inaczej stało się z drugą sierotą, którego Bartłomiej z księdzem Serafinem odnieśli na Krakowskie przedmieście do pałacu pani starościnowej. Murgrabia żonaty i obarczony familją, poleconem miał sobie zająć się hodowlą dziecka, dla którego przybrana matka innego uczucia nad trochę litości nie miała. Płatne ręce zajęły się bez przywiązania, bez czułości,

opatrzeniem pierwszych potrzeb jego; a Starościna, niby obiecując los lepszy sierocie, zapowiadała, że za pierwszą zrzeczością na wieś ją odeszle.

Ksiądz Serafin krzątał się, jak mógł, koło nieszczęśliwych sierót i zmarłej ich matki. Złożywszy w bezpieczne ręce dwóch maćców, zebrawszy składkę na kosztą pogrzebu nieznanym kobiecie, sam się zajął ostatnią dla niej posługą.

Wysłał babki szpitalne, żeby ciało obmyły, ubrały i przygotowały do trumny, którą już zamówił u sąsiedniego stolarza; a nic, lub tak jak nic, nie mogąc się dowiedzieć o zmarłej, na wypadek późniejszego jakiego odkrycia, usiłował dzieciom przynajmniej pamiątkę ich pochodzenia i pokrewieństwa zostawić.

Na szyi kobiety znaleziony krzyżyk brązowy, rozpiłowany wzdłuż na dwoje, jedną pamiątkę po matce, odniósł sam do szewca i murgrabiego, zawieszając je z błogosławieństwem na szyjach bliźniąt. Więcej nie było ich czem dzielić. Uwinęte w czarną szmatkę papiery okazały, że dzieci chrzczone były imionami Jana i Marka; nazwisko nosiły tylko matki — a matka zwała się Tekla Lutyńska. Lecz z kąd pochodziła, dla czego przybyła do Warszawy; z czego się w początku utrzymywała, kto był ojcem sierót, kto ona sama? nie nie powiadało. Papiery w oryginale oddał ksiądz Serafin szewcowi, kopią ich poświadczoną wręczył Staroście. Wychowawca szewca nazwano Markiem, dziecię przez panią wzięte Janem.

Wychodząc z ubogiej izdebki szewca, zastanowił się w progu starzec i odwróciwszy do pocziwych rzemieślników na pożegnanie, rzucił im te wyrazy ostatnie:

— Moje dzieci, dobrze to bardzo, żeście przytulili sierotę; ale pamiętajcież, jak wielką na siebie odpowiedzialność, jak straszne w obliczu Boga bierzećcie obowiązki. Wiecie co Chrystus powiedział o tych, co niewinnemu dziećciemu stają się zgorzenia przyczyna? Poprowadźcie sierotę drogą pocziwą i nie dajcie jej się zepsuć, aby was całą później wieczność nie przeklinała.

Ze smutnie spuszczoną głową poszedł jeszcze starzec

potem do Starościnej. Tu przystęp był trudny; przecież wyczekawszy w przedpokoju, gdzie zblocone otarł sandały, puszczonej został do wnętrza. Winien to był wielkiej swej pobożności, sławie, jaką światobliwym żywotem pozyskał a może i niemiłej często prawdziwie, której się ludziom rzucić w oczy nie wahał. Starościna wybierała się w odwiedziny i stała przed wielkiem zwierciadłem, które całą jej zreclną postać odbijało; klęcząca sługa obciągała na niej i opinała suknię koronkami obszytą i sznurami złocistymi poprzewijaną.

Ujrawszy w zwierciadle siwą brodę Kapucyna, pani Starościna szybko odprawiła służącą, i wyrobiwszy trudny uśmiech na ustach, zbliżyła się ku niemu.

— A cóż Ojcie, spytała, kontenciście ze mnie, wszak już spokojni być możecie o waszą sierotę?

— Spokojni! o! nie pani, nie jestem o nią jeszcze spokojny, nie będę póki mi nie dacie słowa, że sami czuwać nad nią będziecie.

— Mój Ojcie — wszakże....

— Wszakże wzięliście ją, opiekujecie się — chcecie powiedzieć? Oj! to nie dosyć, mościu Starościno. Potrzeba na płatne ręce nie spuszczać się, nie zostawując za oczyma, dowiadywać się, pilnować i czuwać. Wzięliście na siebie cały przyszły los dziecięcia.

Starościna piękne usteczka zagryzła.

— Powtarzam ci Ojcie Serafinie, bądźcież spokojni.

— O sierotę to ja spokojny jestem; Bóg jej zginąć nie da; ale nie chciałbym wam, zamiast do dobrego uczynku, być powodem do grzechu. O was to mi chodzi — czuwajcie!

— Trudnoż żebym mu była niańką, mój ojcie.

— Bądźcie matką, to lepiej — odezwał się Kapucyn.

— A! dobrze żeście matkę wspomnieli, usiłując odwrócić rozmowę, zawołała Starościna, przecież dowiedzieć się musieliście, kto była ich matka, kto ojciec?

— Mało lub nic, rzekł smutnie staruszek spuszczać głowę — matce było imię, Tekla.

— Tekla spytała? Starościna wlepiając oczy w Kapucyna — Tekla, a nazwisko jej?

— Lutyńska, rzekł Kapucyn.

Wzdrygnęła się piękna pani, lecz nie dając poznać, że ją co ubodło, poczęła ze spuszczoną głową rękawiczki naciągać.

— Ojca nie znamy, dodał Kapucyn. Imię dziecięciu waszemu Jan; drugiemu synowi, którego wziął pocziwy szewc jeden, Marek — metryki obu złożyłem w kopji u murgrabiego. Starościna nie już nie odpowiedziała; nie można było wytłumaczyć sobie, jakie nią uczucie zawiadło, bo spuściła oczy, udawała bardzo zajętą swym strojem, a róż i bielidło nie dozwalały przejrzeć, czy zbladła, czy się zarumieniła; widać przecie było jakąś w niej nagłą zmianę i jakby niepokój. Kapucyn mówił dłużej o obowiązkach opiekunów — milczała; nareszcie odszedł, a Starościna, na którą konie w dziedzińcu czekały, rzuciła się na kanapę i z osłupiałym wzrokiem poczęła dumać głęboko. Trzy razy dawano jej znać, że konie na nią czekają, trzy razy weszła służąca i dwa razy zajrzał lokaj; ona jeszcze siedziała nieruchoma, zamyślona. W ostatku porwała się żywo, spojrzała przechodząc w zwierciadło i siadła do karety.

Szewc Maciej wszystkie wolne od pracy chwile poświęcał dotąd próżnemu badaniu bliższych sąsiadów o nieznaną kobietę, po której w spadku otrzymał sierotę. Czuł on, że później dziecięciu winien będzie dać wiadomość o matce i klucz do tajemniczej przeszłości. Zrazu szły badania tępo i trudno; lecz silna wola czegoż nie dokáže? Powoli odrobiny wiadomostek poczęły się sklejać w jakąś porządną całość.

Dowiedział się szewc, że kobieta nieznaną przed rokiem przybyła ze wsi z dziećmi obojgiem; i choć od razu zdała się ubogą, przecież nie tak w początku nędzne, jak potem wiodła życie. Najawnszy mieszkanie na Starem mieście, w tej izdebce, w której życie skończyła;

przyjęła staruszkę do pilnowania dzieci i mieszkania, a sama często się oddalała zdając szukać czegoś; na próżno zapewne, bo codzień powracając gorzko płakała. Szewc Maciej znał dobrze wszystkich swojej ulicy mieszkańców, począł domyslać się, ktoby mógł być piastunką sierót, i doszedł, że stara Dorota, którą nazywano Pielgrzymką, bo zwiedziła z kolei wszystkie prawie miejsca święta w Polsce, Litwie i na Rusi, a nawet w Węgrzech i Szlązku. Ona to w istocie czas jakiś między jedną a drugą pielgrzymką służyła u zmarłej. Odszukać Doroty nie było łatwo: bo chociaż kiedy niekiedy powracała do Warszawy i ukazywała się na Starem mieście, to tylko chwilowo; wkrótce potem wzięwszy kij i torby na siebie, puszczała się znowu do którego ze wsławionych miejsc świętych. Za powrotem znużona i osłabła, zaprzysięgała się, że to była jej ostatnia podróż, mówiła o spoczynku, wybierała się do szpitala; ale zaledwie sił jej trochę wróciło, ktoś jej powiedział o cudownym obrazie, i Dorota znowu w drogę. Maciej więcej trafem niż przemysłem znalazł Dorotę pod kościołem i zaprowadził do siebie, usiłując wybadać o nieznanym kobiecie. On i żona, napoiwszy (czego nie odmówiła) i na karminy pielgrzymkę, zaczęli ją wypytywać na wszelkie sposoby.

— Już to prawda, odezwała się wreszcie zażywając tabaki Dorota, że byłam u niej, ale żebym ja ją znać miała, nie powiem tego. Takie to było skryte, smutne, a harde! Mówię harde, bo choć z człowiekiem mówiła zdaje się od serca i pocziwie, a taki zawsze nie to co myślała. Co ja jej napytałam o nią, o dzieci, z ką ona, kto? co? jak? Bywało jak się już rozplacze, to pocnie niby coś, i jak utnie, ani już słowa nie dopytasz więcej.

— Jakżeście uważali, co to mogła być za kobieta?

— Któż to wie? Zdaje się nie prosta, taki zapewne szlachcianka. I musiała być piękna, bo i była jeszcze niczego i nie stara wcale, ale to potem przynędziało. Mówiła czysto, a trzymała się z waszecia. Pracować to jej nie bardzo smakowało, chyba już z konieczności największej, a dnie i noce wypłakiwała na czem świat stoi. Pójdzie bywało na cały Boży dzień w miasto, po-

wróci, siądzie, przytuli dzieci do siebie, i płacze ta i płacze, że słowa nie dopytasz; a powtarza nad głową niebożątek: — sieroty wy — sieroty!

Raz się jakoś wygadała, że miała siostrę w Warszawie w dobrym bycie, ale dla czego do niej udać się nie chciała, nie wiem; nie mogłam tego zrozumieć. Mówiła często: poszłabym do niej, gdyby była uboga jak ja! Miała w początku coś trochę pieniędzy, ale to prędko wyszło; miała różne kosztowniejsze sprzączki, to się posprzedawało. Już jak do tej nędzy przyszła, o której mówicie, tego ja nie widziałam; ale to się domysleć łatwo. Chodziłam wówczas do Myślenic. Ot i po wszystkim.

— Ale z których-że stron była, jak miarkujecie? spytała szewcowa.

— Któż ją wie? Zdaje się z mowy, że może od Krakowa. Ja z początku wzięłam ją za Podlasiankę, bo mi się wydało, jakbym ją kiedyś widziała wstępując po domach po drodze do Kodnia do N. Panny; ale widzi mi się, że taki od Krakowa, bo często coś o tamtejszej stronie bąknęła.

— Nikt-że do niej nie przychodził?

— Żywej duszy. Ale mnie w drogę czas, dodała Dorota zażywając tabaki, już taki dziś po mszy świętej miałam ruszyć do Kalwarji, dokądem się ofiarowała za dusze zmarłe; a otoście mnie zatrzymali. Bądźcież państwo zdrowi i sierota także, a niech wam Bóg Chrystus Jezus błogosławi i najczystsza Matka Jego.

To mówiąc Dorota wychodzić chciała, gdy szewcowa podała jej jałmużnę, wpuściła do torby bułkę i kawał sera, zapraszając, aby z powrotem od Kalwarji, zaszła ich odwiedzić.

— Bóg-że wam zapłać; a komu w drogę, temu czas. — I wysunęła się żywym posuwistym krokiem w ulicę.

Trudno opisać, jak czuła i prawdziwie macierzyńską opiekę miała pani Maciejowa nad sierotą, którą wkrótce po dziecinności, zapomniawszy matki, przyjęła ją za własną. Serce jej otwarło się raz pierwszy nieznanemu

uczuciu, gdy usłyszała słodkim dziecięcym głosem wyrzeczone te uroczne wyrazy: Matko! Matuniu!

Przytuliła sierotę ze łzami, z wdzięcznością do bijącego serca; bo gdyby nie ona, nie posłyszalaby w życiu tych słów tak wzruszających, nie poczułaby słodkiej macierzyńskiej miłości, która ze wszystkich na ziemi najczystsza jest i najświętsza. Majster Maciej od czasu jak mu do domu przybył nowy mieszkaniec, nigdy już nawet z najserdeczniejszymi przyjaciółmi nie oddalał się na Marcowe piwo; wieczory całe spędzał z panią Maciejową przy łóżeczku w takim humorze wyśmienitym, jakiego nikt nie pamiętał. Oboje układali wesoło, jaką to przyszłość mieli obmyśleć sierocie, i nie godząc się na jedno, zgadzali się przecie w życzeniach i gotowości na ofiary z siebie.

Poczęli nawet zbierać skwapliwiej grosz, rachując że go na wychowanie Marka potrzebować będą.

Pani Maciejowa, niegdyś służąca w uczciwym domu, z którego obyczajów wyniosła nadzwyczajną pobożność, tem się odznaczała od innych swojego stanu kobiet, że nie będąc wcale przesadną i przywiązaną zbytnie do drobnostkowych form religijnych; pochwyciła sercem wiarę, zrozumiałwszy całe jej znaczenie w życiu praktycznem. Dla niej nabożeństwo było szczególnie w uczynkach; najlepszą modlitwą spełnienie obowiązków, których naucza wiara. Prosta, łagodna, dobra, stawiała się surową, stawiała mądrą, gdy chodziło o doprowadzenie bliźniego na drogę zbawienia; o nawrócenie obojętnego, o poprawę zepsutych. Jej sprawą mąż, w początku lekkomyślny i obojętny, począł życie pojmować lepiej i spełniać ochotnie surowsze jego powinności. Czeladź majstra obawiała się pani Maciejowej, ale ją szanowała, i po krótkim czasie pobytu dziwnie się tu prawie zawsze na korzyść swą odmieniała, lub wynosiła skoro od majstra Macieja. Słowem wszystko, co ją otaczało, co jej dotyczyło, ulegało wpływowi dobremu, jaki wywierała, nie chlubiąc się nim, nie przywiązując do niego innej wagi nad tę, jaką dla niej miała sprawa wiary. O sobie i o panowanie swoje nie

szło wcale pani Maciejowej; ale chodziło jej o to bardzo, żeby nikt z bliżej jej dotykających nie zwał się chrześcijaninem napróżno. Czysty, zdrowy rozsądek i dobre serce wcześniej jej objawiły tę wielką prawdę, że religja przedewszystkiem winna się okazać w uczynkach, które są najlepszym jej świadectwem. Umiała o tem, nie przykonywając słowy, bo tegoby nie potrafiła, przekonąć przykładem swoim, i głębokiem, jakie miała, przejęciem się widnem z każdego jej kroku.

W takie to ręce dostało się biedne chłopię, a w lepsze wpaść nie mogło. Nigdzie troskliwości więcej, nigdzie zbawienniejszych nie potrafiłoby zyskać zasad nad te, jakie mimowolnie, codziennie żywiły je tutaj. Dziecię też zdawało się zasługiwać na przywiązanie przybranej matki, i odżywszy z nędzy, zapomniawszy boleści, rozwinęło się jak kwiatek od słońca.

Na bladą jego twarzyczkę wystąpił rumieniec zdrowia, zaświeciły mu oczki, zaśmiały usteczka, zabiło weselej serce; złote włoski, obmyte z prochu, utrefione, same się zwijając w pukle, stroiły piękną jego główkę. Maciejowa, nie chcąc je uczyć próżności, nie stroiła, choćby to jej sercu dogodziło; ale ubierała czysto, schludnie i po prostu, a więc wdzięcznie. Kiedy sierotka stanęła trzymając się jej sukni w progu kamienicy, nie jeden przechodzień zatrzymał się, by spojrzeć na piękne dziecko i uśmiechał się do niego. Maciejowa naówczas czuła w sercu radość nieopisaną. Często godzinę długie spędzała z wychowawcem w bocznej izdebce swej w rozmowie dziecięcej; ucząc go tych najpierwszych wielkich zasad naszej wiary, które cudem niepojętym mieszczą się w głowie dziecka zarówno i zapełniają ogromem posiwała czaszkę starca. Pierwsze chwyta je jak pokarm pożądany i pożywa z rozkoszą, nie czując wielkości tego, co mu daje; może bliższe drugiego świata czystsza jeszcze dusza, nie przeczuwa, że w starości, nad grobem, też same prawdy, też same myśli, które młodość karmiły, wystarczą przestraszając ogromem swym i potęgą, nadgrobnym dumaniom. Tu Marek posłyszał wielkie a tak proste zasady wia-

ry: wszyścymy braćmi, wszystkich bez wyjątku uko-
chać potrzeba, wszystkim i wszystko przebaczać; świat
przejsć jak ciemne wschody, wiedące do jasnego przy-
bytku, nie przywiązując się do uludnych jego przyje-
mnośtek, które piętnuje cecha wszystkiego ziemskiego: —
znikomość. W górze zobaczył po raz pierwszy w świa-
tłościach Boga światów, Boga ludzi, do którego łona
ojcowskiego dusza, po pielgrzymce bolesnej, poleci spo-
cząć na wieki. Maciejowa językiem dziecinnym, który
odgadła, opowiedziała sierocie, że aby się tam dostać,
gdzie wedle starej naszej pieśni.

Króluja Anieli,
potrzeba być czystym jak Aniol.

I dodała jeszcze co zbrukać może na ziemi — wszel-
kie uczucie nienawiści, wszelkie ukochanie siebie.
A dziecko choć nie pojęło w początku: to powtarzało
i usiłowało zrozumieć, że życie winno być poświęceniem.

— Dla czego mówicie poświęceniem? pytał chłopak. —
Jakże to człowiek święcić się może, to jest zostać
świętym?

— Właśnie przez ten uczynek, który się zowie po-
święceniem, moje dziecko, odpowiadała mu przybrana
matka. Człowiek przezeń świętym się staje. — A po-
święcać się znaczy, cierpieć dla ludzi, życie dać dla
nich, jak je dał Chrystus dla świata....

Stary Maciej często, porzuciwszy kopyto i dratwę,
które, choć majster, dla przykładu codziennie brał w rę-
ce; szedł przysłuchiwać się żonie i wielbić jej wymo-
wę natchnioną. Ruszał naówczas ramionami i powtarzał:

— Mówi jak ksiądz! a tak jej to idzie jak chleb
z masłem zjeść. Jać przecie toż samo myślę, a żeby
mi przyszło powiedzieć, tobym się od pierwszego sło-
wa popłatał. Już co kobieta! to kobieta!

I przysłuchiwał się i dziwił.

Gdy przyszedł czas oddawać do szkoły Marka, zgo-
dzili się na to oboje, że mu nauki skąpić nie trzeba.
Niech się uczy, mówiła pani Maciejowa, rzemiosło mu
się przyda, ale i nauka przy niem nie zawadzi.

Jakoż oddano go do najbliższej szkoły, ale nie pu-

szczając samopas, Maciej sam odprowadzał i przypro-
wadzał do domu swego wychowawca; a do zabawy, pa-
ni Maciejowa obawiając się uliczników, sama dobierała
towarzyszów.

Dziecię w ten sposób troskliwie pielęgowane, dzi-
wnie odpowiadało oczekiwaniom rodziców. Jak twa-
rzyczka jego piękna, tak dusza była anielska. Powta-
rzane nauki Maciejowej tkwiły w dziecku silnie, roz-
wijaly się nagrażając w dziesięcioro pracę podjętą;
a majster i majstrowa tak się czuli szczęśliwi ze swe-
go dobrego uczynku, że jednej tylko rzeczy obawiali
się, to żeby ich jaki trafiał, odkrycie, jaki wypadek nie-
spodziewany, tego kradzionego, jak je nazywali,
szczęścia, nie pozbawił.

— Uważasz Jejmość, rzekł jednego wieczora pan maj-
ster do żony, siadając na skrzyni przeciw niej — i po-
glądając we drzwi (bo w pierwszej izbie bawił się
w piłkę Marek z rozwieśnikami-sąsiadami) — uważasz
Jejmość, że to od tego czasu, jak my tę sierotkę wzię-
liśmy do siebie, nie mówię, że nam jakoś na sercu
lekkie i ochoczko żyć, ale nawet dalipan nie wiem jak,
choć wydatek większy, grosz płynie lepiej. Tać to u mnie,
dodał ciszej, sto talarów w skrzyni — czego nigdy
przenigdy nie bywało. Jak to tak pójdzie dalej, no
no! kto wie! to się i fundusina dla chłopca uzbiera.

Pani Maciejowa uśmiechnęła się i zapytała:

— A co myślicie robić z temi stu talarami?

— Niechaj sobie leżą, rzekł szewc, nie zgniją, choć-
by zaplesniały; a jak człowiek widzi, że jest do czego
przyrzucić, to raźniej mu zbierać. Juściż na procent
nie oddam, bo to najczęściej przepada.

— Tylko no uważajcie, żebyście się zbytnie do swo-
ich talarów nie przywiązali — dodała jejmość —
boć chłopiec, aby zdrowe ręce, zdrowe serce i trochę
opieki Boskiej, da sobie radę na świecie.

Zostawmy na chwilę Marka pod opieką majstrowej, a spojrzymy na los jego brata.

Starościna, jak wiemy, narzuciła sierotę murgrabie-mu pałacu; zwał się on Paweł Kurek, i liczną był obarczony familją, bo siedmioro dzieciak zwijały się w ciasnych dwóch izdebkach, które zajmował na tyle kamienicy. Był to człowiek już nie młody, od kilku dopiero lat żonaty, którego żona piękna, zalotna i wyszczekana, trapiła niemiłosiernie zarówno powiększaniem familji, kłótniowością i rozrzutnością.

Paweł Kurek, który za grzechy swoje ożenił się ze służącą Starościnej, skąpy był niesłychanie: nowe więc jego życie po ożenieniu stało się przy zwiększających wydatkach, nieopisaną męczarnią, a dom zawrzał nieustanną kłótnią i swarem nieznośnym. Panna Róża, dopóki starała się o pana Pawła, udawała tak ciche, potulne i skromne a oszczędne stworzenie, że podżyty murgrabia ani się domyślał, co go w przyszłym poży-ciu z tym aniołkiem czekało. Złakomiał się na kilkaset talarów posagu panienki, a może i podkochał trochę; dopiero po ślubie postrzegł, że sprzedał swoją spokoj-ność i kupił domowego prześladowcę. Pani Pawłowa bowiem dawszy mu siedmioro potomstwa, stała się sto-pniowo wprawdzie, ale niemniej niespodzianie, z anioł-ka szatanem wielonym. Całe dni kłócili się o każdy grosz, bo Kurek był niesłychanie skąpy. Pani Kurko-wa niewypowiedzianie przywykła do szastania groszem. A tu w dodatku, żeby odziać tylko jako tako i nakar-mić siedmioro piskląt w mieście, już nie mało kosztowało. Wyłysiał pan Kurek, a z ciągłej kłótni i niepo-koju poburzona żółć załała mu oczy i poczerwiniła ko-niec nosa.

Pani Róża zaś jakby w swoim żywiole była, wy-piękniała tylko, wybielała i zdawała się odmładzać. Koło niej nieustannie kręcili się gachowie, co wieczora tańce, co dzień czegoś potrzeba, to do stroju, to do ge-by, to dla dziecka, to dla oka ludzkiego. Kurek się wściekał, ale wyklóciwszy przepotęźnie, wytargowawszy jak żyd, gdy mu oka zmrużyć i odetchnąć nie dawała

żona, wchodził w kompromis i padał najczęściej zwy-ciężony. Naówczas pogłaskała go pod brodę pani żona i do jutra dawała pokój. Pan Paweł zaczynał wyrzucać na oczy Róży jej zalotność, ona mu jego zazdrość i skąpstwo; on ją nazywał gadziną, ona jego szatanem i piekielnikiem; a tak nakławszy się, nałajawszy, na-szturchawszy czasem nawet, rozchodzili się na chwilę, by ku wieczorowi rozpocząć drugi akt dramatu, który się kończył późno w noc łataną zgodą do ranka.

Dzieci mając tak piękny przykład przed oczyma, wyrastały na wisieleców.

Trzema synami i czterema córkami cieszył się już pan Kurek; ale że matka i ojciec nie mieli czasu zaj-mować się niemi; niania, kucharka i ulica ich wycho-wywała. Wypędzano tę trzodkę jak skoro kto z gości przyszedł, pozbywano się jej pozwalając skrećć kark na wschodach i wałęsać po mieście, pani Róża bawiła się, pan Paweł grosz zamykał chowając klucz starannie, co nie zawsze pomagało. Działwa szalała gdzie chciała i jak się jej podobało.

W takie to ręce powierzyła pani Starościna sierotę, która tylko kiedy niekiedy pokazywać sobie polecając, całkiem zdała na dawną sługę Różę. Pani Kurkowa przyrzekła, że sieroty pilnować będzie jak własnego dziecka, co też sumiennie spełniła, bo je puściła, jak własne dzieci, na opatrność Bożą. Ubierano tylko schludniej Jasia, gdy go do Starościnej prowadzić miano, co rzadko się trafiało; zresztą wołała murgrabina prze-znaczone sierocie suknie i wygodki własnym dzieciom oddać.

— Dobrze temu znajdzie i tak, mówiła; — niechaj Panu Bogu dziękuje, że ma chleba kawałek.

Mały Janek służył dzieciom pani Pawłowej za pie-ska lub kotka, które nieopatrzni czasem rodzice dają do zabawy swoim ulubieńcom. Męczono go co wlażło; na jego głowie uczyli się serów, na jego nosie pstrycz-ków, na jego bokach szturchańców. Gdy spał puszcza-no mu dym w nos, gdy jadł rzucano popiół do miski, a pani Róża cieszyła się dowcipem miłych swych dzie-

tek. Pan Paweł nigdy i nie spojrzał na sierotę, choć najregularniej dopominał się co miesiąc o kika talarów wyznaczonych na jego utrzymanie.

Przy najmniejszej zreczności, jak na przykład gdy Janek odważył się odepchnąć bijące go murgrabięta, ogromna różga brzoźowa wznosiła się nad nim z przerażającymi swemi kościstemi kształty. Czasem karano go głodem, czasem policzkowano dla prędszego wymiaru sprawiedliwości, lub targano za włosy.

Biedne dziecko oswoiło się z tem życiem męczarni, ale kosztem uczucia i głowy. Przybite, znędzniałe, smutne, dzikie, tuliło się w kąć podwórza samo jedno, aby uniknąć razów i bolesnych napomnień, i zasiadłszy gdzie pod rynną liczyło godzinami krople deszczu z dachu spadające. — Ale i tu wyszpigowany Janek, chwycony za rękę, ciągniony jak winowajca do pani, obity był za to, że się z dziećmi *bawić* nie chciał. Musiał więc wracać do milego ich towarzystwa.

Gdy przyszło Janka prowadzić do Starościnej, co się trafiało mniej więcej raz lub dwa razy w roku, umyty, uczesany, i zagrożony sierota, przedstawiał się pani mileczący, ogłupiony, ale przynajmniej podobny do dziecka utrzymanego starannie. Pani Róża przysięgała się, że go sama czesze, myje, kocha niezmiernie, i swoim odejmuje dla niego, całowała go w przytomności Starościnej, a chłopiec choć bał się jej jak ognia, musiał przyjmować te kłamane uściski. Starościna zwykle dawała Różę podarek, a dziecku zabawkę lub co słodkiego, wnet na wschodach odebrane przez troskliwą piastunkę.

Powróciwszy do mieszkania Róża rozbierała sierotę, chowała suknie, i wypychała ją za drzwi.

Teraz powiedzmy słówko o Starościnej, którąśmy zaledwie postrzegli z daleka, a z którą bliżej zapoznać się musimy. Starościna Mylżyńska należała do liczby dość znacznej osób, które na świecie żywym doznały tak dziwnych losów, iż w powieści wydają się one prawie nie podobnemi do wiary. Każdy z nas czytając lub słuchając opowiadania, podziwia się w niem temu, co

w życiu spotkał nieraz, o co się otarł świeżo. Prawda najwięcej bywa nieprawdopodobną; — dla czego? bośmy do zbyt pospolitej prawdy przywykli; a ona jest tak rozmaita, tak dziwnie wielotwarzą, jak życie.

Starościna należała do tych, których losy zdają się bajką dla zabawki zmyśloną. Lecz nim poznamy ją bliżej, musimy powiedzieć coś o Staroście Mylżyńskim. — Jan Krzysztof Pobóg Mylżyński był potomkiem dobrej szlacheckiej rodziny, pochodzącej z Krakowskiego. Jak wiele innych, i ta pod koniec panowania Augusta III. zubożała była i zabierała się zniknąć z Herbarza, ostatni jej potomek Jan Krzysztof sierota, w niemowlęctwie został pod opieką dwóch wujów, największych łotrów, jakich świat widział kiedy. Najbliżsi krewni z prawa natury zostali opiekunami Jana Krzysztofa, któremu ojciec umierając zostawił majątność rozrzuconą, w procesach, długach, sporach i kwestjach nierozwikłanych.

Wujowie, którzy się nienawidzili wzajemnie jak bracia, których całe życie było walką zajądłości pełną, nie chcieli dozwolić jeden drugiemu zostać opiekunem wyłącznym młodego chłopca, którego szczytki majątkowe łatwą były zdobyczą. Oba przeszkadzając sobie, tyle uczynili, że ich oznaczono opiekunami; i Bóg chciał, by wzajemnie sobie na przekór robiąc, nic złego powierzonej sierocie zrobić nie mogli; owszem jak skoro jeden wyciągnął rękę po sieroce ostatki, drugi ją chwycił i wstrzymywał, tak, że co na zgubę służyć miało, ocaliło przynajmniej resztę majątności Jana Krzysztofa.

Dwaj wujowie wzajemnie się nienawidząc, w opiece znaleźli powód dojadąć sobie, czekając oba, by jednego z nich śmierć zabrała.

Ale śmierć ma to do siebie, że nigdy proszona nie przychodzi, najdłużej żyć zwykli ci, których trują i zabijają. Tak się i tu stało, oba panowie wujowie upatrując na sobie znaki blizkiego zgonu, dożyli do pełnoletności siostrzeńca i jeden drugiego pilnując, zdali rachunki ściśle Mylżyńskiemu, któremu Bóg z dwójga złych ludzi, utworzył cudownie doskonałą opiekę.

Opieki tej jednak cała doskonałość ograniczyła się zabezpieczeniem od rozgrabienia fortunki sieroczej i postawienia jej w daleko lepszym stanie, niż była za życia rodziców. Opiekunowie na wyścigi robiąc sobie psikusy, pokończyli procesa, popłacali długi i uporządkowali spadek, w nadziei, że gdy który z nich przeżyje brata, naówczas zagarnie sobie pozostałość z pod nosa sierocie. Pan Jan Krzysztof Mylżyński wielce opuszczony i zaniedbany pod względem moralnym, wychował się naprzód w domu własnym, gdzie mu dano nauczyciela; potem był niestrzeżony na łasce Bożej w szkołach publicznych w Krakowie; nareszcie doszedłszy pełnoletności, z dobrej woli zapisał się do wojska. Młodość jego była, jak zwykle ludzi zostawionych sobie i swym instynktom, burzliwa, pełna dramatycznych wydarzeń, hulacka i wesoła. Nie wiem jak się to stało, że na Sejm został wybrany Posłem, i mandat swój spełniając pojechał do Warszawy. Tu znalazł dalekich krewnych ojca na wyższych szczeblach towarzystwa, między tak nazwanymi Panami. Zmuszony zbliżyć się do nich w zetknięciu z nimi rozwinął w sobie panującą namiętność, która od tej chwili wzięła górę nad innymi — tą była żądza wzniesienia się. Kupiono jego głos i współuczestnictwo Starostwem; zawróciła mu się głowa, i dotąd marząc tylko o Kasztelanji, o krześle, o dalszych a dalszych honorach, Mylżyński począł twarzyć żywot dumnego, który się musi płaszczyć z jednej strony, by nadać mógł potem z drugiej. Małżeństwo było u nas zawsze jednym ze środków podniesienia się; ono wiązało solidarnie rodziny z rodzinami, zapewniało jednym sług, drugim protektorów.

Jan Krzysztof nadto znał świat i ludzi, żeby na nie wiele nie rachował; ale tu przeciwko jednej panującej namiętności, wystąpiła druga niemniej silna i potężna. Jan Krzysztof słabym był dla kobiet i łatwo go było piękną twarzą poprowadzić dalej niż chciał i powinien był pójść. Pojechawszy w Krakowskie do rodziny matki i majątku, spotkał w ubogim domku szlacheica zagonowego, dziewczę śliczne, miłe, zalotne, żywe, które,

wcale nie myśląc o ożenieniu, bałamucić począł. Było ich dwie córki u starego ojca bez matki; jedna piękna, figlarna Elżusia, druga smutna a piękna Tekla. Lutyński szlacheicę wiódł życie czysto szlacheckie, od zagona i pluga przesiadając się na konia, z konia zsiadając do procesu, proces rzucając dla sejmików i spraw publicznych. Rębacz, zawadja, gaduła, niewiele patrzył na córki, raz im powiedziałwszy, że broń Boże jakiej swawoli, łby im poucina, resztę zostawiał własnemu ich kierunkowi. Zawsze zajęty, wiecznie potrzebny wszystkim, chwytany na wszystkie strony, stary Lutyński, którego konopiaty wąs ogromnych wymiarów, dwa razy koło ucha się zakręcał, w domu był rzadkim gościem. Dwie córki gospodarzyły jak mogły, bały się go niezmiernie, szanowały i wdychając poglądały w świat, któryby smakował im, gdyby miały nadzieję kiedy wylecieć nań swobodnie. Ale stary mawiał, że starszej nie wyda rychło za męża, bo mu dobrze gospodaruje, a młodziej nie puści przed starszą wedle obyczaju; nie spodziewały się więc rychło skosztować świata. Starsza Elżusia była prawdziwie piękną: nieporównany wdzięk dawała jej trzpiotowata żywość, dowcip, śmiałość, jakaś instynktowa ludzi znajomość, odwaga we wszystkich wypadkach i ufność w siły własne. Młodsza przeciwnie, nieśmiała, trwożna, smutna, w innym rodzaju była równie piękną, a może od pierwszej piękniejszą.

Dla Jana Krzysztofa, którego folwark graniczył z szlacheicą zagrodą, starsza musiała wziąć prym przed Teklą, zalotnością, śmiałością, wesołością i wyzywającą postawą, która się najlepiej ludziom namiętnym podobać umie.

Jan Krzysztof korzystając z częstych wycieczek Lutyńskiego, same zastając obie sieroty, począł dojeżdżać wieczorami do Elżusi. W głowie mu nie postało, żeby on, pan Starosta, jutro może choć drażkowy Kasztelan, mógł się z zagonowego szlacheica córką ożenić; bawił się i mówił sobie: — Co to komu szkodzi?

Ale zabawa z początku niewinna, stała się wkrótce niebezpieczną. Elżusia postanowiła schwytać pana Sta-

roście i umiała sobie radzić. Naprzód ośmieliła go, przyciągnęła, podnieciła, a uwinawszy dobrze w sidła, gdy już miarkowała, że się cofnąć nie potrafi, dała umyślnie do uszu ojca dójsć wieści o miłostkach z starostą.

Spodziewała się że ją ojciec wybiję, ale była pewną, że ją też za starostę wyda. Tak się właśnie stało: w pierwszym gniewu zapędzie potężnie ją bizunem wykropiwszy, co ona zniosła stoicko, siadł na koń pokrećciwszy węża pan Lutyński i pojechał do Żalic. Tu stanawszy przed starostą powiedział mu z otwartością brata szlacheica, że jeśli się z córką jego, której sławę uszczerbił, nie ożeni, jak psu mu w łeb strzeli.

— I nie myślcie mi uciekać, dodał, znajdzie waszmości, panie starosto, w Warszawie, w Wilnie, w Kijowie i na drugim końcu świata, a jakim szlacheic, tak mi Boże dopomóż, w łeb strzelę jak wścieklej sobace. A co myślcie, że to córkę szlachecką podwieść nie? że to się zapłaci, zatrze, nagrodzi? Zjesz waść sto djabłów z ogonami — musisz się ożenić.

Panu starościu w głowie nie postało, żeby się mógł ożenić z Elżusią, kazał nazajutrz konie zaprzadź i dmuchnął. Stary Lutyński wsiadł na siwosza i dalej za nim; dognał go na pierwszym noclegu, złażał okrutnie i tak nastraszył, że Jan Krzysztof dla kombinacji, jak mówił, zawrócił się. Ale kombinacja z upartym wążaczem była trudna.

— Jechał cię sęk! wołał, ja twojego majątku nie chcę, mam kawał chleba i nie potrzebuję datku. Kiedyś się miłował, to żęże się bestjo, a nie to ci w łeb strzelę, tak mi Boże dopomóż!

Starosta zobaczył dopiero, że nie przeliwki, i począł brnąć do namysłu; dano mu trzy dni. Próbował uciec, ale bracia szlachta Lutyńscy, których miał na zawołanie jako głowa domu pan Łowczyce wężaty, pilnowali go gdyby we łbie oka. Zgryziony, zły, wściekły, Jan Krzysztof rad nierad musiał się zgodzić na ślub. Sądził że obiecawszy ożenienie, potrafi zwlec, załagodzić tę sprawę i potem się z niej wypłatać. Ale Lutyński stary ani chciał słuchać o odkładaniu. Jan

Krzysztof widząc skompromitowaną całą przyszłość swoją, aż się rozchorował śmiertelnie. Wążacz przywiozł mu doktorów, sam u łóżka pilnował, i tak dobrze, że starosta musiał wyzdrowieć.

— Zje sto djabłów z ogonami, mówił kręcąc węża, nie umrze bestja póki się nie ożeni, to darmo.

Starosta z łóżka poszedł do ślubu, tak zgryziony, że się dał złapać, iż żał było patrzeć na niego. Elżusia przeniosła się do Żalic, a małżonek rzuciwszy ją w samotnym, opuszczonym dworze, uciekał do Warszawy. Tam już się wieść rozchodziła o jego dziwnem małżeństwie, i rodzina co go protegowała, osadziła zgubionym, jeśli się nie rozwiedzie. Na rozwód wszakże zezwolenia żony potrzeba było, a Elżusia nadto była piękna, zalotna, przebiegła, żeby dozwolić miała na to wypędzenie z raju, do którego gwałtem weszła. Żył przymem stary Lutyński, i na pierwszą o rozwodzie wzmiankę pojechał zapowiedzieć zięciowi znowu, że mu w łeb strzeli, i że zje sto djabłów z ogonami, jeśli potrafi dokazać, żeby się rozwiodł póki on żyje.

Nie było sposobu; starosta musiał się pogodzić ze swoim losem i cierpliwie czekać śmierci zawadjaki, na którą już jedynie rachował.

Tymczasem w ślad za nim przyjechała żona do Warszawy. Wielkie było podziwienie starosty, gniew, skłopotanie, ale naszamotałszy się napróżno, gdy widział, że jej nie wypędzi, uciekł w Krakowskie. Starościuina została w Warszawie.

Mężczyzna z niższego stanu do lepszego bytu i towarzysztwa podniósłszy się, rzadko potrafi zetrzeć z siebie cechy pierwszego życia; kobieta, zwłaszcza kiedy ją Bóg obdarza taką jak Elżusia zwrótnością, dowcipem, wdziękiem i chęcią zrównania się z nowem położeniem, zmienia się jak gasienica w motyla. Nie wiem jak do tego przyszło, lecz gdy wynudziwszy się w Krakowskim, pan Jan Krzysztof przybył do Warszawy, nie poznał swojej Elżusi.

Była ona już JW. Starościuina Elżbietą z Lutyńskich herbu Bróg Mylżyńską; wszyscy ją przyjmowali, męż-

kie towarzystwo unosiło się nad jej nieporównaną pięknoscią; wyuczyła się po francuzku, nabrała tonu wielkiego świata, słowem stała się inną kobietą.

Zdziwiony pan starosta powoli pogodził się z żoną, potem zazdrością pobudzony wrócił do pierwszych uczuć dla niej, nareszcie w ostatku dał się jej zawojować zupełnie. Dziwnym wypadkiem ta, która miała być przeszkodą do wzniesienia się dla starosty, obiecywała stać się narzędziem wielce użytecznem. W owej epoce w Warszawie wszystko lub prawie wszystko robiło się przez kobiety i pieniądze. Piękna twarzyczka jednała moźnych przyjaciół, krzesła, ordery i honory; cóż gdy do bardzo pięknej twarzyczki przyłączył się dowcip cudnie rozwinięty, zalotność uroczą i zawsze gotowa dla wszystkich, zimne serce a gorąca głowa? Starosta podziwiał się żonie i nie pojmował, jakim sposobem on teraz wychowaniem, tonem, obejściem, stał daleko niżej od niej, i gdzie ona grała pierwsze role, ten za gburą prawie uchodził? Tak było!

Stary Lutyński, który dożył tej zmiany i Elżusia rączki całował, unosząc się nad nią, był jedynym kłopotem starosty. Odwiedziny jego przypominały mu jedną z najprzykrzejszych chwil w życiu i sprowadzały go do niskiego stanu, z jakiego wziął żonę. Ale i tym macającym pokój domowy ukazywaniom się ojca, Elżusia potrafiła zapobiedz, i tak starym władała, że się nie ukazywał w salonie, a ukazując niekiedy, przybierał przyzwoitą postawę. Nareszcie Lutyński umarł; a z siostrą Teklą co się stało, Elżusia albo nie wiedziała, lub udawała że nie wie; to pewna, że o niej nie wspominała nigdy.

W chwili, gdy się nasza rozpoczyna powieść, staroscina władała już samowładnie mężem, który podstawszy stał się pierwszym poddanym pięknej królowej, i resztę swej niepodległości za rzadki umizg przedawał. Sterany, znużony pan Jan Krzysztof ostatnich życia zozkoszy szukał na dnie opleśniałych butelek i w dymiących półmiskach, bawiąc się jak mamidełkiem to nadzieją orderu, to obietnicą krzesła, które mu żona

wyjednać miała. Elżusia panowała w domu i sławną była pięknoscią na dworze Stanisława Augusta. Należało do dobrego tonu kochać się w staroscinie, to jest chwilę z ciekawości, drugą z nudy, trzecią z nałogu. Zastąpiła tę jednodniową królową inna; ale Elżusi pozostało dosyć jeszcze poddanych i wielbicieli, a laska królewska nie zupełnie odsunęła się od niej. Piękność pastelowa Elżusi, unieśmiertelniona minjaturą Lesseur'a i portretem Marteau, była naówczas w największym moze blasku. Nie straciła była jeszcze świeżości dziewiczey prawie i dziwnie naiwnego wdzięku twarzy, która zepsucie głębokie pokrywała maską niewinności młodzieńczej, a sztuka, a wprawa, a próżność, nowych jej dostarczały broni. Nikt nie ubierał się tak jak staroscina, nikt tak spojrzeć nie umiał, żeby w jednym spojrzeniu całą zda się wyszafować duszę, nie dając jej w istocie; nikt nad nią nie był weselszy, śmielszy, zalotniejszy i powszechniej uwielbiany.

Kilka pojedynek nowym ją okryły blaskiem, a najświetniejsze towarzystwo Warszawy cisnęło się na jej niedzielne wieczory. Starosta grał na nich zwykłą rolę męża powolnego pięknej kobiety, kłaniali mu się wszyscy, ściskali go, całowali, kochali, zapraszali, obdarzali, pieścili; a ten słodki byt wkrótce tak mu przypadł do smaku, że się w nim rozparł, rozgościł i innego nie żądał. Zmuszony będąc zazdrości nieustannie, i widząc że na to sił mu nie wystarczy, przestał zupełnie uważać na zalotność żony. Wiek też był po temu, i zazdrość zupełnie nie modna; śmiano się z mężów natrętnych, a śmieszność większa moze przywιάzywała się do zazdrośnych niż do zdradzonych. A staroscina? Staroscina płynęła wielką rzeką życia na ustrojonym statku, wśród muzyki, wśród kadzidel strojna, piękna, wielbiona, królowa, zawsze równie dowcipna, coraz bardziej zepsuta, i przebiegła, i zimna, zimna jak kamień. Płakała łatwo, gdy intryga tego potrzebowała, ale nigdy szczerze, chyba nad sobą, bo kochała tylko siebie.

Serce jej dla niej samej było nierozwiązaną zagadką.

Była ona jak ślepy, który nie pojmuje czemu oczyma. któremi drudzy widzą, nie zobaczyć nie może; pytała się życie całe, czemu tem sercem, którem drudzy czują, ona uczuć nie potrafiła? Ztąd może te tysiączne próby w życiu, te miłości coraz nowe, które poczynając się obiecywały coś, a kończąc się zawodziły zawsze. Serce bić nie chciało. Biedna była Elżusia, to, co drudzy okazują, bo mają w sobie, wyuczona pokazywała tylko, choć nie miała. Tak właśnie kochała, jak mówią papugi, nauczywszy się formy kochania, nie znając co to było w istocie. Może wszystkich mniej więcej historia ma źródło w temże, co Elżusi stanie duszy niezwykłym.

By ją głębiej poznać, trzeba ją było widzieć, gdy po trzpiotowatej rozmowie, po wesołych umizgach, po całym wieczorze, przez który odegrywała swoją biedną rolę, wróciła do sypialni sama z sobą. Naówczas znikała wesołość, rozpyływał się uśmiech, gasły oczy, a na miejscu żywej, pięknej i ognistej starościny (nosiła bowiem to nazwanie jakby na szyderstwo) pozostawał piękny jeszcze, ale posąg bez życia, bez uczucia, bez serca. Wyszedłszy z tego kręgu szalów i wiru salonu, padała jak automat, w którym pękły sprężyny. Nie jej nie bawiło, nie nie cieszyło, nie nie porywało, nie była ciekawa niczego, więc pożądać nie mogła; świat dla zmęczonej a nienasyconej był jeszcze tak nowy, jak w pierwszej chwili życia; wszystko tajemnicą, zagadką, złudzeniem. O jak nieraz zazdrościła nawet cierpienia, którego doznać nie mogła, zarówno jak rozkoszy. Dodajmy do tego, że w miarę niemożności nasycenia nieokreślonego pragnienia, pragnienie to powiększało się, potęgowało, wzrastało, podnosiło i z wiekiem czyniło coraz gwałtowniejszem.

— Jakto? wołała w rozpacz, miałabym umrzeć nie doznawszy nic, nie skosztowawszy niczego, w oczach ludzi przesycona, w głębi siebie spragniona jak dziecko? Miałabym umrzeć z tem pragnieniem palącym?

Nazajutrz starościna rzuciła się w zamęt życia, szukała człowieka, coby jej dał poznać uczucie, płatała

się w nowe miłości, rozsnuwała nowe nadzieje, i doszedłszy do końca, znajdowała ten sam zawód, którego doznała sto razy?

A świat miał ją za szczęśliwą!

Nieraz pragnęła być matką, żeby serce zabiło choć tem uczuciem, nowem dla niej, jak inne; ale Bóg odmówił jej i tego. Piękna Elżusia męczarnie piekielne znosiła, ubrana w różę, uśmiechając się i śpiewając; rozpacz siły jej dwoiła..

Starosta jadł, pił, spał i cieszył się przyszłą kasztelaną. Takie było życie opiekunów Jana sieroty, gdy los rzucił go pod te drzwi złoczonej nędzy.

Długo Jan zostawał u murgrabiego w poniewierce ciągłej, gdy wypadek zwrócił na niego oczy pani starościny.

Raz około południa wyjeżdżając z pałacu swego na mszę, postrzegła dziecko odarte, wychudłe, blade, do żebraczka podobne, siedzące na kamieniu pod ścianą i płaczące gorzkiemi łzami.

Była to dla starościny jedna z tych chwil zmęczenia i nudy, które przychodziły często podwajając jej męki. Machinalnie zatrzymać się kazała, poczęła rozpytywać dziecko i dowiedziawszy się, że to jej wychowanec tak opuszczony i sponiewierany wałał się w ulicy, odebrała go od murgrabiego, kazała przebrać na nowo i poczęła myśleć coby z nim zrobić.

Z wielkich nudów przyszło do tego, że sama zażądała doziarać dziecięcia, postawiła je w pustym dotąd pokoiku obok siebie, i poleciła bliższy dozór jego kamerdynerowi i pierwszej swej służącej.

Dziecko sądziło, że się dostało do raju. — Jak te trawy żółtkłe, które jeden uśmiech słońca i kropla rosy wyprowadza z ziemi zielonością strojną, tak Janek rozkwitł rumieńcem, weselem, pięknnością nagle i niespodzianie. Z chorowitego dziecka stał się aniołkiem wdzięcznym, i starościna ubrawszy go za pазią, poczęła go puszczać do salonu, bawiąc się sierotą, jak się bawiła bonończykiem, angorą, papugą i sroczką.

Dziecię nagle rozpieszczone w najosobliwszy sposób,

karmione cukierkami, pojone winem, rozweselone, rażne, szczęśliwe, doskonale bawiło znudzoną starościny i jej gości. Wczesna nędza, potem pieszczoty, uczyniły zń dziwne w istocie stworzenie: nie było to właściwie dziecko, ale twarz aniołka a zepsucie szatanka: podszeptywano mu przekasy, uczono go odegrywania małych scen, w których Janek przedstawiał wybornie postacie śmieszne dworu i stolicy, i sława Janka starościny wzrosła do tego stopnia, że sam król zażądał widzieć to małe чудо. Janek miał szczęście rozśmieszyć do łez Króla i Mości w chwilach, kiedy najtrudniej było o uśmiech na królewskiej twarzy, dostał piękny podarek, i odtąd pozyskał stałą sławę dziecka cudownego w Warszawie. W istocie pociesznie było widzieć ośmioletniego chłopca, przybranego jak dorośli, a coraz w innym stroju, odegrywającego rolę codzien inną i codzien nabierającego więcej złośliwego dowcipu.

Nie było wieczora u starościny bez Janka; Janek leżał u nóg jej razem z bonończykiem, lub opychał się ciasteczkami w kącie, potem na zawołanie, pochwycony przez kobiety, wyściskany i wycelowany, występował na środek sali i *udawał* nieprzytomnych gości. Stosowną do roli dawano mu suknię, których niezliczoną rozmaitość sprawiała starościna; a malec dumny, wypieszczony, podniecany i nieszanowany wcale przez ludzi zepsutych, nad wiek i spodziewanie zepsuty przez nich, potworną sprzecznością twarzy z mową i ruchem, ubawiał trudnych do zabawienia ludzi. Reszta życia spływała mu wśród służących, którzy dla podobania się pani wyuczali go i piosneczek, i przekleństw, i konceptów, jakich może nigdy jeszcze usta dziecięce nie wyrzekły. Janek uczył się wszystkiego w lot, z niesłychaną do złego skłonnością, rzekłbyś że przeczuwał to wszystko, i dość mu było napomknąć nieco, by resztę się domyślał, by ją dorobił i przyswoił sobie.

W istocie zdolności były nadzwyczajne, ależ w jaki je obrócono użytek!

Nikt z tych ludzi, co się śmieli z Janka, ściskając go i całując, nie pomyślał, że wszyscy potroszę kamień

mu do szyi wiąza. Sama opiekunka nie troszczyła się wcale co z niego będzie, była pewna, że na świecie da sobie radę, i prorokowano mu nadzwyczajne losy.

Janek rósł szybko, kształcił się dziwnie, i doszedłszy dwunastego roku, przedwcześnie dojrzały, przekwitły, sterany, ale pojętny, przebiegły, sprytny niezwykle, z dziecka cudownego wyrósłszy na chłopaka, zapomniany przez tych, co zmarnowali jego dzieciństwo, wcisnął się, nie bez upokorzenia i przykrego uczucia, między sługi starościny. Ładna twarz i wiele zdolności czyniły go już tylko potrzebnym i znośnym. Niekiedy Elżusia, zawsze piękna jeszcze, spoglądała na niego zamyślona, jakby dumiała co z nim zrobi; ale to nigdy nie trwało długo, i chłopak walał się w przedpokoju po dawnemu.

Szczęściem czy nieszczęściem, początki, jakie mu dano, zaszczyty w nim dumę, wysokie o sobie pojęcie i pragnienie wybicia się z tłumu. Miał wiele wolnego czasu, zaczął uczyć się czytać i pisać, a raz dorwawszy książek, na których czele stał Idzi Blas i Rinaldo, przewrócił sobie głowę do ostatka. Przypominając sobie dziecinne swe tryumfy, uściski możnych, ich dary, oklaski, pochwały; dziś upadły i zapomniany, postanowił czemś się koniecznie odznaczyć, dojść do czegoś. Starościna zajęta sobą, już o sierocie niewiele myślała, a w jej przekonaniu, dając mu odzież, jadło i dostatek, obchodząc się z nim łagodnie, już była od wszelkich innych obowiązków dla niego swobodną. O nauce, o zapewnieniu mu losu nie myślała; ale on myślał za nią i za wszystkich o sobie. W piętnastym roku życia był to już prawie człowiek, dla którego świat nie miał tajemnic, bo są tajemnice dla wychowanych w przedpokoju zepsucia? Gorące żądze młodości zużył przedwcześnie; starość chłodną ręką już mu ścisnęła serce, gdy jeszcze puszek ledwie zarastał na twarzy. Kosztem serca i uczucia paliła się głowa.

Jako środki do dumnych swych celów, miał twarz piękną wcale, bystrość umysłu rzadką, śmiałość niepokonaną i gorącą żądze zostania człowiekiem. Janek

bowiem Panów tylko nazywał ludźmi. Los jego i pochodzenie zamiast go ochładzać, rozgrzewały go jeszcze; wiedział, że był sierotą, ale nie znając swej matki, ani ojca, bo go inaczej jak Jankiem nie nazywano, nadawał sobie pochodzenie wielkie (mając do wyboru jakie chciał), marzył o przyszłości bajecznej, o przyznaniu się do niego Książąt i t. p. Od dawna postanowił wynieść z upadającego przedpokoju i rzucić galonowe suknie, ale nawyknięcie do dobrego bytu, nieumiejętność dania sobie rady, odwodziły go jeszcze od tego. Przypadek przyspieszył (my to nazywamy zawsze przypadkiem co daleko rozumniejsze jest od nas), wyzwolenie Janka.

Po śmierci skąpego murgrabiego Pana Pawła Kurka, dla którego miał najżywszą nienawiść Janek, pozostały papiery, które przenosząc ze stoła na stół, przerzucając z kąta w kąt, złożono w izdebce, którą zajmował Janek. Nie mając co robić przerzucał je.

Tu natrafił na kopią swej metryki i ślady swego pochodzenia, stwierdzone przez Ojca Serafina przy oddaniu w opiekę dziecięcia Pani Starościny. Głowa mu się zapaliła. Imię Tekli Lutyńskiej, utkwilo w jego pamięci; a że Starościna była z domu Lutyńska, wpadł na myśl pokrewieństwa z nią, w której utwierdziło go przyjęcie do tego domu. Długo miotał się sam na sam z tą myślą, aż nareszcie jednego poranka, wszedł z papierami w rękę, do pokoju Starościny.

Elżunia jeszcze piękna, jeszcze zalotna, mimo zbliżania się do tej pory, w której kobiety wszelkie prawa do zalotności tracą, spoczywała na berzerce wystrojona tem staranniej im więcej teraz strój dla niej był potrzebny. W trochę umyślnie przyćmionym pokoju, nie powiedziałabyś że ma więcej nad lat dwadzieścia kilka; tak jeszcze była świeża, tak zgrabna, tak pozor-nie młoda. Kobiety bez serca mają zawsze ten przywilej długiej młodości.

— Czego chcesz Janku? spytała niedbale rzucając książkę na krzesło blisko stojące. Janek trzymał

papiery w rękę, milcząc podał je Starościny, ona z podziwieniem mierząc go oczyma przejrzała je i nie pojawiając o co chodziło zwróciła mu z nowem zapytaniem:

— Czego chcesz Janku?

— JW. Pani, to imię mojej matki nosi Janek, wskazując metrykę.

Starościna splonęła i porwała się z berzerki.

— Cóż z tego? spytała.

— Moja matka nazywała się Tekla Lutyńska, dodał Janek z wielkiem i widocznem wzruszeniem.

— Być może! odparła Starościna, ale cóż z tego?

— Nic, odparł młody chłopak przyklękając i całując w rękę opiekunkę — chciałem tylko zapytać Pani, kto była moja matka? i czy gdzie w świecie mam jakich krewnych?

Starościna która się nie spodziewała tego obrotu rozmowy, zmieszała się trochę, spojrzała w oczy Jankowi i zatrzymawszy się chwilę, odpowiedziała:

— Nie wiem — nie wiem! alboż ci tu źle u mnie alboż byś chciał szukać gdzie nowej familji?

— Nowej! nie — ale Pani ja nie mam żadnej a nie mieć żadnej — o! ciężko!

— Janku! odważniej poczęła piękna pani, bądź szczerzym, inną myśl miałeś przychodząc tutaj: nieprawdaż?

Janek z kolei się zmieszał.

— Ty wiesz, że i ja zwałam się dawniej Lutyńska, nieprawdaż?

— Wiedziałem o tem, rzekł Janek z cicha.

— I myślałeś.

— Daruj JW. Pani, śmiałem pomyśleć, żeś mnie przytuliła sierotę, przez pamięć na jakie pokrewieństwo.

Starościna poprawiała sukni i włosów głęboko się zamyślając: ciężko jej było wyrzec kłamstwo i pochyliła rachować czy się ono przyda na co prócz chwilowego zaspokojenia jej dumy, czy go co później nie wyjawi.

— Słuchaj, odparła nareszcie poważnie — Lat temu dziesięć będzie jeśli nie więcej, ścisk ludu zatrzymał mnie w ulicy jadącą do kościoła, w tym ścisku ojciec Serafin kapucyn, znalazł się szczęściem. On mi wytłómaczył dla czego tyle ludu zebrało się pod biedną kamienicą starego Miasta. Uboga jakaś kobieta umarła w tym domu, zostawując dwoje opuszczonych sierot, niewiedząc kto były te sieroty, wzięłam z nich jedną na wychowanie, ty jesteś tym sierotą. Z papierów dowiedziałam się żeś syn jakiejś Tekli Lutyńskiej, nie wiem nie więcej.

— Nie wiesz Pani kto była matka moja? spytał niedowierzając Janek.

— Wiem i nie wiem; odparła odważnie i zniecierpliwiona Starościna. Powiem ci wszystko: miałam siostrę Teklę, która znikła nie wiem jak i gdzie.

— Więc moja matka mogła być siostrą Pani?

— Mogła, lecz na świecie wiele jest Lutyńskich a zwłaszcza w Krakowskiem, a nie pojmuję jakby siostra moja mogła umrzeć w takiej nędzy, nie zgłosiwszy się do mnie. Wiedziała, że byłam w Warszawie, gdyby była tą siostrą moją, dla czegożby nie przyszła do mnie?

Janek uczuł się tą szczerością Starościnej rozstrojony i zrozpaczony; i mówiła z takim wyrazem prawdy, że musiał jej wierzyć! Spuścił głowę i zamilkł.

— Powiem ci więcej Janku, dodała Starościna — jakkolwiek nie mogę przypuścić żebyś był moim siostrzeńcem; samo nazwisko twojej matki było jednym z powodów dla których zajęłam się tobą. Dla innej opiekuńki byłoby to może powodem odepchnienia ciebie. Gdybyś był najniewdzięczniejszym, nie możesz mi nie przyznać, że cię wydzwignęła z nędzy i błota. Nie dość na tem, dawno myślałam, aby cię ze stanu, w którym jesteś wyprowadzić; ale ja tyle mam na głowie. Dobrze żeś mi to przypomniał; Starosta potrzebuje pisarza w swoim majątku, pojedziesz jutro w Krakowskie. To mówiąc zawróciła się, skinęła główką i wyszła.

Co myślała? Bóg to wie jeden, a nawet czy myślała i to pytanie; odpowiedziała co jej na myśl przyszło i sądziła, że się chłopca pozbędzie. O to jej teraz chodziło. Wiedziała bardzo dobrze, że był synem jej siostry ale dla tej biednej nie miała serca, dla sieroty nie czuła przywiązania, znudził ją wreszcie. Znalazła sposób pozbyć się go i jeszcze mogąc za to wymagać wdzięczności.

Tegoż wieczora Starosta Janka mianował pisarzem, dano mu konia, i instrukcję, do Rządu dóbr list, kilka talarów na drogę i nazajutrz rano Janek pożegnać musiał Warszawę. Za całą spuściznę z niej wywiózł głębokie zepsucie, silne postanowienie wzniesienia się jakimikolwiek sposoby, bo sumienie nie rozwinięte w nim spało, i pół krzyżyka na piersiach z papierami, świadczącymi o pochodzeniu sierocem.

Choć mu towarzyszyła nadzieja, Janek jechał smutny; chęć wzniesienia się, na którą dobrego w języku wyrazu nie mamy, którą ambicją u nas zwano z obcego języka, bo pierwiastkowy był słowiański nie znał tej namietności, a jego ustawy rozwinięciu jej sprzeciwiały się. Ambicja gryzła Janka, każda namietność jest męczarnią, ale żadna od tej sroższą! Nigdy tej żądzy zaspokoić, nigdy uspić, nigdy kresu jej położyć. U celu nadziei, jeśli wyższego nie dojrzysz, przesycona, kona z przesyty i znużenia. Jak namietna chciwość, jak miłość namietna, ambicja trawi i niszczy człowieka.

Na twarzy dotkniętego tą plagą, wyczytasz wewnętrzne duszy męczarnie, niepokój, zazdrość, i piekielne ciągle pragnienie. Janek wyjeżdżał za miasto, kierując się ku Krakowu na chudym koniku, o niczem nie myśląc, nie otaczającego świata nie czując i nie podziwiając, jedynie zajęty sobą i przyszłością swoją.

— Mam nogę na szczeblu, mówił do siebie, pójdę, pójsz muszę, dójdę! — Iluż to mnie podobnych z pisarzy jakim ja jestem dzisiaj, siadło potem na krzesłach dygnatarskich, wzięło buławy i laski! Nasłuchał się o tem Janek w Warszawie, i przykłady szlachty drobnej wzniesionej talentem, intrygą, poplecztwem na wysokie stopnie i urzęda, nie były rzadkie. Z szlachty

dopełniała się co chwila klasa panów, której wielkie rodziny gasły daleko częściej niż szlacheckie; bezpamiętne i zapomniane. Tysiączne o podobnych wypadkowych wielkościach, powiastki krążyły u ludu.

Czuł w sobie siły, czemuż się nie miał spodziewać? Nieraz patrząc na ospałego Starostę, pomyślał sobie młodzieniec: do czego się mi to stworzenie przydać może? Niepotrafiłżebym być równie tłustym i obżartym Starostą jak on? — Wyśmiewając od dzieciństwa, nawykły wszystkich widzieć ze strony ich szpetnej, siebie miał za coś wielkiego.

Wyjechawszy za miasto, ani spojrzął na wiosenne niebo, na ziemię w wiosennym wianku, serce mu nie zabiło, oczy się nie zwilżyły, krew płynęła zastygła; a nowość widoku nie wzbudziła w nim uczucia żadnego, paczka myśli, żadnej myśli kwiatu uczucia, którego owocem jest czyn. Jechał zimny, obojętny, ziewający, i wciąż tylko powtarzał: pójdę i dójdę — dwa słowa na których teraz obracało się ubogie życie jego.

Modlić się nie umiał, śmiać się mu uprzykrzyło, płakać się wstydział, ciekawości nie miał. Patrzył po Bożym świecie ucząc się go tylko na użytek późniejszy i zimno rachując na co się mu nauka przyda. Napróżno szumiała blisko niebieska rzeka, mówiły gaje o wiosnie, śpiewali ptacy, błyskało jasne słońce, dla niego głosy i widoki były stracone, nudził się wszystkim. Przeszły piękne dziewczęta wiejskie przypatrując mu się ciekawie, zaczepiając go naiwnie, odpowiadał im sztyderstwem nie przystojnem tylko. Zbliżył się stary żebrak o kiju z siwą brodą po pas prosząc o jałmużnę, Janek go minął dawszy koniowi ostrogę. — Miałbym rozum, żebym pierwszy grosz rozsypywał bez pożytku po drogach, rzekł w sobie.

Dziewczęta pokiwały głowami, starzec popatrzał i ruszył ramiona z pogardą: nie chodziło mu o jałmużnę tyle ile o dobre słowo, a i tego mu nawet nie rzucił, zwyczajnego. — Niech Bóg wspomóż. Dojechawszy do lasu Janek nie zwykł do jazdy, uczuł się znużony i zwolniwszy koniowi biegu, zsiadł więcej

przywykł do chodu niż do jazdy, myśląc że mu lżej będzie iść pieszo. Słońce poczynalo dopiekać, gdy stanął przed gospodą w lesie, która jak tysiąc innych niewygodnych karczem, zwała się Wygodą.

Kilka wozów wieśniaczych stały przed karczemą a na kłodzie pod sośniną starą siedział młody chłopak pożywając chleb podróżny, dobyty z sakiew skórzanych.

Postawiwszy konia u żłoba, napiwszy się wódki, która zepsutemu łakociami podniebieniu równie jak jadło karczmarki nie smakowała, Janek wyszedł na podwórze, szukać miejsca gdzieby się mógł położyć spać póki by gorąco południowe przeszło.

Tu dopiero postrzegł siedzącego na kłodzie podróżnego zajądającego chleb z serem, a postrzegłszy go cofnął się z podziwienia, podróżny także wlepił w niego oczy ciekawe i zdawał się równie zdziwiony jak on.

Powodem tych podziwień było najosobliwsze podobieństwo twarzy dwóch tak niespodzianie spotykających się ludzi. Zdawali się jednego wieku, a byli tak podobni jak rodzeni; nawet małeńkie znamię na skroni obudwu w jednym miejscu się ukazywało. Lecz choć wielkie było twarzy i rysów podobieństwo, choć prawie jedno oblicze, wyraz co je ożywiał różnił się wielce.

Janek zwiędły, z oczyma zgaszłemi, znużony, blade, zestarzały był przedwcześnie; nieznamy chłopak przeciwnie rumiany, z pełnemi blasku oczyma, uśmiechem i weselem duszy pocziwej i spokojnej, ledwie zdawał się rozkwitać. Dla niego dopiero otwierało się życie, rozpoczynał świat i wszystko było mu zdumieniem rozkosznem, zdumieniem młodego Adama kiedy pierwszy raz piękny świat w promieniach złotego słońca zobaczył. — Janek spojrzął i serce mu się ścisnęło z zazdrości, bo wcześniej dojrzały, poczuł, ile wyższym od niego był ten chłopak rzeźwy, silny, spokojny i wesoły. On już nigdy nie mógł doznać tego, czego się jeszcze tamten niedotknął. Przeciwnie na widok Janka, obcy chłopak uczuł nie wytłumaczoną dla siebie litość, jakby zobaczył trupa.

Obadwa stali przez chwilę milezacy, piorunem przebiegła przez głowę Janka myśl braterstwa. Postanowił dowiedzieć się od chłopca co było można, ale mu się nie przyznawać za brata i owszem odepchnąć, bo go uważał za przeszkodę.

O tyle tylko rad był spotkaniu, że się mógł może co o matce dowiedzieć, jeśli by się okazało, że byli braćmi. W sercu młodego chłopaka, Marka, bo któż go z was niedomyślił się, zabiło uczucie braterskie. Wiedział że miał brata, przeczuwał go i radował się.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! zaczął czeladnik szewca.

— Na wieki — odparł Janek przez zęby. — A dokąd to Pan Bóg prowadzi?

— W świat, na wędrownkę — rzekł Marek, a was, Panie?

— Ja jadę do dóbr mojego Pana w Krakowskie.

— Nie uważacie Panie, jak dziwne jest między nami podobieństwo? rzekł szewc — a toć jakbym się po chorobie w zwierciadle matki Maciejowej zobaczył.

— To prawda, rzekł Janek, żeśmy do siebie podobni, ale ja pewnie starszy, dodał umyślnie kłamiąc, mam już około dwudziestu lat, choć nie wydaję tyle.

— A ja dopiero koło szesnastu.

— Wyście z Warszawy? spytał Janek.

— Tak panie, i sierota.

— A ja mam rodziców w Sandomierskim — rzekł ciagle kłamiąc Janek.

— Jakżeście szczęśliwi! odparł szewc. Mamci prawda matkę, która mnie jak rodzona wypieęgnowała, ale zawsze taki czuję żem sierota.

— Ba! alboście to nie znali nawet swojej rodzonej, albo ojca?

— Nie! nikogo. — Z litości mnie wzięto na wychowanie, bo nas taki dwoje odumarla bliźniąt matka, to jednego slysze podjęła się wychować jakaś wielka pani, a mnie pocziwy szewc Maciej, panie świeć nad jego duszą.

— A jakże się matka wasza nazywała? zapytał Janek.

— Mam ci papiery? rzekł Marek — moja matka

była szlacholanka rodem z Krakowskiego, Tekla Lutyńska.

Janek, który się tego spodziewał, ani poczerwieniał, ani się zmieszał, lecz przerwał tylko — a to osobliwsze podobieństwo.

— Patrzcie wszak to nawet czarne znamię na skroni jednakowe.

— To szczególna rzecz! wrzucił Janek siadając opodal na wyższej trochę kłodzie i rozparłszy się z pańska. I mówicie, że macie brata, że was było bliźniąt dwoje; gdybym nie wiedział dobrze kto byli moi rodzice, myślałbym doprawdy żeśmy rodzeni, żeśmy bliźnięta.

— I ja bym to myślał i przyznam się myślałem, odpowiedział Marek ze smutkiem, a tak mi się serce z tego zaradowało. Co to sierocie brat, to nowy świat, jest się z kim podzielić.

— Właśnie tego się boję i nie chcę, sam w sobie rzekł Janek. — Dzielić się! gdy i samemu dójść do czegoś trudno.

— Jest komu poskarżyć, jest kogo poradzić, mówił czeladnik dalej, bracia to dwa palce dłoni. A jak w życiu ochocho być musi kiedy się idzie we dwóch razem i wspiera. Prawdziwie widząc od Maciejowej, że nas było dwóch, że mój brat miał imię Jana i wychował się u jakiejś pani w Warszawie, ledwie mi z ust nie wyszło — Bracie Janie! z przeproszeniem pańskim, kiedym was zobaczył.

— E! małoż to ludzi podobnych do siebie na świecie! obojętnie zawołał Janek udając, że ziewa. Nie możemy być bracia, bo ja mam rodziców i taki od was jestem starszy widocznie.

— Ale powiedzcie no mi, dodał, wasza matka jak się nazywała?

— Tekla Lutyńska.

— A ojciec?

— Nie wiem, ale z pomocą Bożą, może się tego kiedy dójdzie. Idę w Krakowskie, a ona była z Krakowskiego, będę się starał, pytał i śledził.

— Musicie mieć z matki familją jaką?

— I tego nie wiem! smutnie rzekł szewc wznosząc oczy w górę. Sierocie Bóg ojcem, a familją wszyscy jak oni biedni.

— Idziecie na wędrowkę?

— Tak, majster myślał, że taki nie szkodzi wyterminowawszy, świata zobaczyć i podług zwyczaju przypatrzeć się rzemiosłu w innych krajach. Mnie się zaś nie bardzo chce, daleko iść, pójdę tylko w Krakowskie, a potem powrócę do Warszawy do Majstrowej.

Spójrział na Janka i westchnął; a potem zamyślił się. Janek niespokojny jak każdy co zły popełnił uczynek, siedział obok na kłodzie niewiedząc już co mówić dalej. Instynkta lepsze wiodły w nim walkę z samolubstwem: chciał się rzucić w objęcia brata i wstrzymywał tę myślą podłą. — Będę się musiał z nim dzielić, będę musiał się nim opiekować, a potem, to rzemieślnik. Nie — nie — nie przyznam się do niego, na co? do czego? wziąłbym próżny ciężar na siebie.

A jednak gryzło go to postanowienie, bo w młodości nikt nie jest tak zepsutym, żeby go już zło nie kosztować nie miało.

Pokłoniwszy się protekcyjnie czeladnikowi, Janek unikając go wszedł do izby próżnej w karczmie na przeciwko i tam się spać położył, ale oka zmrużyć nie mogąc, tarzał się tylko niespokojny na słomie.

Tymczasem Marek pozostał smutnie zamyślony na kłodzie i słuchając szumu lasów, dumął spokojnie. Pierwsza to była jego podróż w życiu, pierwszy raz nieco dalej wymknął się z wielkiego miasta; i jak dziecię, które w niemowlęctwie zbójca uwiózł z rodzinnej ziemi kątką, doznawał wśród wsi wrażenia niepojętego, jakby powracał w znajomą już i ukochaną stronę. Bośmy wszyscy sercem wieśniacy, a nałogiem chyba miast mieszkańcy i każdy z nas wychyliwszy się z tej atmosfery dymu, błota i wrzawy, czuje jakby z wygnania na lepszy świat powracał.

Dla Marka, który życie spędził między szaremi, ciasnymi murami, na twardym stołku, w małej izbie, wszystko było nowe i zachwycające, kiedy pierwszy raz oko

jego nieprzywykłe do bujania, wleciało po nad szeroki kraj przecięty niebieską wstęgą Wiślaną, zasiany wsiami, zasadzony lasy, uzieleniony łąkami, musiał się wstrzymać ze wzruszenia, bo mu się w głowie zakreśliło.

— Jakże to piękny świat Boży! zawołał, jakże piękny! jak się tu ludzie skazać mogą na wędzenie w murach ciasnych, w dymie szarym, gdy tuż tak szeroko, tak pięknie, tak swobodnie w zielonej wsi; a tak ciasno i smutno w tym ulu, który się miastem nazywa.

A idąc dalej wszystkiem się cieszył, jak dziecko zbierał kwiaty dzikie, wpatrywał się w ich jaskrawe twarzyczki, wciągał w siebie woń powietrzną, poglądał na chmury co się wyścigać zdawały na lazurowych niebiosach. Lud, który spotykał, wesół, przyjazny ubogiemu jak on, zaciekał go równie jak wszystko. Wypytywał, rozmawiał, i schodząc w głąb siebie, badał się czemu raz pierwszy w życiu czuł się tak szczęśliwy, tak ożywiony jakby się wedle wyrazu ludu, pierwszy raz na świat narodził.

Marek jednak nie mógł nie pożalować miasta, jak więzień żałuje swoich kajdan i ciasnego lochu w którym lata długie przecierpiał. Wspomnienie przybranych rodziców a zwłaszcza poczciwej Maciejowej, która go jak własne dziecko wypielegnowała, łzy mu naprowadziło na oczy. Jakże było nie zawdzięczać tyle starań i tyle dobrych nasion, które pobożna kobieta rzuciła w duszę dziecięcą jeszcze.

Po odejściu Janka zaczął się modlić Marek, wziął swój tłómacze nę plecy i przeszedłszy w tę stronę lasu, która cień rzucała, ze swoim kijem podróżnym powłókł się dalej drogą. Nie śpieszył się idąc, bo mu pilno nie było, grosz jaki taki w kaletce był jeszcze, a tak miło wyrwawszy się na swobodę upajać się nią i światem. Marek śpiewając pieśń jakąś z kantyczek, myśląc, przypatrując się, rozmawiając, z podróżnikami jak on, szedł sobie powoli; Janek nie mogąc oka zmrużyć, bo mu ciążył ten brat, którego się zaparł, rozpląciwszy się, rzucił na konia i dobrym klusem pospieszył tą samą drogą.

Kilka razy jadąc obejrzał się czy brata nie zobaczy, ale go już niepostrzegł i wolniej oddychając, powtarzał sobie dla uspokojenia sumienia: Da sobie radę, ja muszę myśleć o sobie.

Marek nie całkiem myślał o sobie tylko; często wśród powolnej wędrówki, przychodził mu na myśl, ten tak podobny do niego podróżny i wdychał z żalu że to nie był brat jego. — A! jakbym mu pomagał, jakbym go kochał! jakby nam sparłszy się na sobie lekko było iść dalej — ale nie! nie! Bóg wie gdzie jest ten brat. Ojciec Serafin umarł i od nikogo dowiedzieć się o tem nie można. A potem on ma rodzić! szkoda! szkoda!

Gdy Marek idzie powoli, Janek choć zбитy konną jazdą do której nie nawykł, śpieszy na miejsce przeznaczenia. Starościna wyprawując go w Krakowskie, gdyż gdzieindziej nie mogła, zrobiła najnieopatrniej i nie zastanowiła się nad tem, że blisko dóbr męża, była płoża Lutyńskich, krewni Lutyńskich, żyło wspomnienie Elżusi i Tekli, że tam najłatwiej o matce mógł się dowiedzieć Janek. W pierwszej chwili byleby się go pozbyć, nie pomyślała, iż mu daje oręż przeciwko sobie. Janek teraz cały był zajęty swoją przyszłością i nie myślał o matce w pierwszych chwilach, ale niepodobieństwem było, żeby samo nazwisko Lutyńskich często powtarzane, nie miało go wprowadzić na domysły, badania i odkrycie prawdy.

W kilka dni podróży, zбитy, zmęczony i prawie chory, pieszczony Janek dostał się nareszcie do Żalicy dóbr Jana Krzysztofa Mylżyńskiego. Rządził Żalicami i całym majątkiem teraz znacznie powiększonym Starosty, daleki jego krewny, brat szlachcic, pan Ignacy Dracz. Był to człowiek już podżyły i na rządząc stworzony: drapieżny, złośliwy, bez litości, bez sumienia, bez serca, bez pojęcia co się ludziom od ludzi należy, caciwy, względem poddanych srogi, dla swego krewnego i pana płaszczący się a niewierny. Cały rozum i usiłowanie wkładał w to tylko, żeby sobie zapewnić kawałek chleba jak mówił z powodu, że łaska pańska

na pstrym koniu jeździ — starał się Starostę okradać jak najzgrabniej, kieszeń ładować pośpiesznie i upatrywał już sobie wioski, które miał kupić.

Atletycznej postawy, wąsaty, z czupryną rudą, podgoloną wysoko zawsze z bizunem w szarawarach, zawsze z szablą u pasa, głośno krzyczący, rzadko przepuszczający chłopą żeby go przynajmniej za uszy i czuprynę nie wytargał, pan Dracz pracował jak wół, ale najwięcej dla siebie. O świtanu przebudzony, już obchodził chlewy, obory, już budził ludzi, już głos się jego rozlegał na przygumieniu. — Z koszturkiem w rękę, z paciorkami na dłoni, poczynął co chwila nowy dziesiątek pacierzy, przerywanych przekleństwami i razami. Jak tam się jego gorliwość religijna godziła z resztą postępowania, tego wytłómaczyć nie potrafię, to pewna, że nikt od niego ściślej nie zachowywał postów, nie marnował pacierzy, nie bił się w policzki podczas podniesienia, nikt żwawiej nie śpieszył nieść baldachym w czasie procesji. Księżę całował w rękę, ale ich oszukiwał w wytykaniu dziesięciny; kościoła nigdy nie opuścił w niedzielę i święta, ale jadąc i wracając nieobeszło się bez bizowania chłopków po drodze.

O Bogu, o ludziach, o świecie, mówił jak z katechizmu, ale gdy przyszło rozpatrzyć czynności, rzekł: byś: bisurman nie katolik, nieczem się więcej nie brzydził jak żydem i heretykiem, zwłaszcza ostatnim. Żyda nie miał za Boże stworzenie i gdyby go nawet zabił, nie czułby się wielce występny, ale heretyka dotknąć nie śmiał tak się nim brzydził, a spalić go miałby sobie za zasługę i największe szczęście.

Trudna była sprawa z Draczem, bo dla wszystkich był gwałtownym niezmiernie, a pasjonat zapamiętały. Przywiązany tylko do swej dębowej szkatuły, w której składał najpiękniejsze czerwone złote, i pewne obligi, nie miał też przywiązania u ludzi; natomiast bali się go wszyscy niezmiernie. Od lat dziesiątka już siwiejąc, ożenił się był uznawszy wolę Bożą, z młodą wcale szlachecianką, sierotą, po której wziął posag znaczny.

Ożenienie to należało do walnych w życiu Dracza wypadków; nie przyszło mu bowiem bez wielkiego trudu i kłopotu. Sierota ze znacznym posażkiem, miała tylko opiekunów, zwijała się koło niej młodzież, czyhali na nią bogatsi i znakomitsi od Dracza, bo była młoda, ładna wcale i jakim powiedział nie uboga na owe czasy, a posąg miała w brzęczącej gotówce. Przy tem rozdziła ją familjantka, ojciec był dobry szlachcic. Nie szczęśliwemu dziecku przyszło paść na łup chciwego Dracza, opiekunowie ją sprzedali. Nie było to bez trudności, nie zjadł jak chleb z masłem swego ożenienia, pan Łowczyce Dracz; ale przecież dokazał nareszcie i postawił na swoim.

Ewa żona jego była w stosunku do niego prawie dzieckiem, obchodził się też z nią jakby z nierozumnem stworzeniem. Obawiała się swego pana niesłychanie, a wiedząc, że po pijanu, zalawszy w pałkę, i plecuby białych nie pożałował, skakała przed nim na jednej nodze. Żeby go kochać miała, wątpię i trudno, ale szanowała go i drżała przed nim, a tego mu było dosyć. Była to męczennica. — W domu pustym wszelka praca na nią włożona, za wszelki nieporządek odpowiadała, woli swojej niemając na szpilkę; całą rozrywką modlitwa niedzielna w kościele, lub tęskna śpiewka u kądzieli.

Dracz przejęty maksymami Salomona o kobietach, pilnował jej jak zrzenicy w oku, najgorszymi zawsze trapiąc posądzieniami, a za najmniejsze posądzenie nawet karząc nieludzko, przy ludziach czasem pocałował ją w czoło od czego zaczerwieniała się biedna, jakby ją gorącym upiekł żelazem; samna sam rozkazywał krótko, despotycznie i niepojmował żeby najgłupszy rozkaz jego mógł pozostać nie spełnionym.

Ewa była piękna; ledwie miała lat dwadzieścia, Dracz piątą krzyżyk kończył, lecz na owe czasy było małżeństwo dobrane; kiedy mężczyzna był w małżeństwie panem nie towarzyszem, kobietę chętnie dobierano młodszą, bo młodszą wyuczyć się mogła łatwiej niewoli i posłuszeństwa.

Takiego to rządcę w majątku Żalicach zastał Janek i oddawszy mu list pana Starosty, przyglądał się ciekawie jego marsowemu obliczu.

Pójdiesz wać na folwark, rzekł mu Dracz, jest tam izba podle piekarni dla waści; a od jutra co rano o piątej po dyspozycją do mnie, potem do roboty. Zapowiadam zaś waszeci, że w szarawarach bizun nosze, tu go wyciągnął z pluder i potrząsł nim, a gdy się niespełni co każe, zwykłem łupić nie patrząc gdzie padnie.

Janek osłupiał na takie *dictum acerbum*, ale nie znalazł w pierwszej chwili wyrazu na odpowiedź, oburzył się, zawrzał, ale przecierpiał. Na pierwszy rzut oka poczuł niezwykły wstręt do swego pryncypała, a wstręt ten jak zwykle był wzajemnym, bo i pan Dracz już czuł w sobie chętkę wykropienia mu skóry, choć jeszcze najmniejszego do tego nie miał powodu.

Odwróciwszy się od Janka, począł chodząc po izbie cedzić do siebie przez zęby:

— Gacha mi jakiegoś przystali dla Ewusi, niezagrzeje on tu miejsca, przepędzę go ja rychło. Albo to ja sam sobie pisarza bym nie znalazł. Po co mnie ta troskliwość pana Starosty! Jakis gołowąs warszawiaczek, co tak się koło gospodarstwa rozumie, jak ja koło dworowania. — Po co to tutaj! Kto wie, może być! I Jejmość trzeba pilnować w dwójnasób, djabeł nie śpi, a kobieta *variabilis*.

Ale ja go wykurzę przedziuteńko! jak go pocznę zażywać po swojemu, jak mu niedam tchnąć, zobaczymy czy długo w Żalicach wytrzyma! Starosta pisze, dodał odczytując list, aby się z nim jak najlepiej obchodzić! Obejdę się jak najlepiej! potrafię, potrafię.

W złym sosie Dracz poszedł do żony, wylał ją, że zamiast praść, motać, siedziała w chacie z załamanymi rękami, potem pociągnął się do obór i gumien, a klepiąc zdrowaśki, powtarzał w duchu:

— Wykurzę paniczyka! wykurzę.

Jakoż zaraz nazajutrz wziął się do tego pan Dracz; i dni następnych nie dał tchnąć Jankowi. Ale ten

w początku oburzony, opamiętawszy się trochę, i domyślając o co szło rządzący, na nic nie zważał i milczkiem począł chwycić końce, z którychby mógł upleść oskarżenie na niego. — Raz na tę myśl wpadłszy, znośił wszystko cierpliwie, byleby swego dopiąć. Dracz tak był daleki od tego, żeby się domyślał i domniemywał denuncyacji, tak zresztą był przywykły do swojego trybu postępowania, że mu w głowie niepostało, domyślać się jakiego niebezpieczeństwa.

Janek już motał od najmniejszych rzeczy poczawszy, a mając klucz i rejestra u siebie łatwo chwycił pierwsze nadużyć ślady. Odtąd wyrachowawszy sobie, że się Staroście nie zasłuży, że miejsce lepsze otrzyma, a na Draczu pomści się upokarzającego i tyrańskiego niekiedy obejścia, zajęty przyszłością, zniósł cierpliwie wszystko. Nie odpowiadał nigdy, słuchał przykładnie, łajany milczał i tak udał doskonale pół-gapia, pół-niedbalca, że rządcza po jakimś czasie nie tyle już myślał o pozbyciu się go z Żalicy.

Przebiegły, zaraz w początku postrzegł, że pani Ewa, wzbudza zazdrość mężowską nie dając do niej najmniejszych powodów, dowiedział się całej ożenienia historii, a raz czy dwa ją zobaczywszy choć mu kobiety obojętne były zupełnie, nie mógł się oprzeć myśli i rachubie jakiejś, do której piękna twarzyczka i posąg pani Draczowej wchodziły. Tymczasem nie dając poznać po sobie, że go zajęła; że mu się podobać mogła, że należała do nadziei jego przyszłości, udawał że na nią nie patrzy nawet.

Dracz który się niezmiernie bał w domu gacha, i w początku wytrzeszczał oczy na niego, zobaczywszy, że Janek ani spojrzy na Ewę, uspokoił się powoli, Janek zaś kuty i nie w ciemie bity, tak wypatrywał chwili, że zrobił znajomość z Ewą, bez wiedzy rządcy. Łatwo mu to przyszło zaskarbić sobie łaskę biednej kobiety, która dotąd bez żadnej pociechy cierpiała. Łatwo mu było wywołać bicie jej serca, bo to umiał jeszcze z przedpokojów Warszawskich. Wkrótce taje-

mnę stosunki przyjacielskie zawiązały się między nim a prześladowaną.

— Kto wie na co się to przydać może? — mówił sobie Janek — a zawsze taki choć nie tak się tu znudzę!

Gdy Dracz wymykał się jednemi drzwiami, sprytny Janek wciskał się drugimi, by potem w chwilę dognać go w polu jakby już z pola powracał. Przywykłej do srogiego męża, do niewoli i milczenia Ewie miło było spojrzeć w twarz przyjazną, pocichu kilka słówek przemówić do uśmiechającego się chłopaka, a choć truchlała na samą myśl, że ich kiedyś pan mąż zejść może na rozhoworze; bojaźń dodawała wartości kradzionym chwilom szczęścia.

Janek nie myślał wcale pokochać Ewy, bo kochać nie mógł nikogo, ale bawił się i rachował. Ona zbyt była religijnie wychowana, żeby zdradzić męża pozwoliła sobie, widziała w tem niewinną a miłą rozrywkę, która że ją trochę daleko zaprowadzić mogła, domyślała się czasem, ale prędko myśl tę odpychała.

Tak płynął czas w Żalicach i roczek za roczkiem ściślejsze stosunki wiązały Ewę z Jankiem, a tymczasem gromadziły się w papierach dowody grabieży i niewierności rządcy przeznaczone do rąk Staroście. Już chwila stanowcza posłania ich przychodziła, gdy nagle jednej nocy Dracz apopleksją tknięty, spadłszy z łóżka — Jezus Marja ledwie krzyknawszy, ducha wyzionął.

Ewa opłakała go jak gdyby był dla niej aniołem i po śmierci dopiero poczęła w nim wielkie odkrywać cnoty. Janek, który już miał wysłać swój raport do Warszawy, przekonawszy się, że grabież pana Dracza, spadają na wdowę, a wdowa może spaść na niego; wstrzymał swoje doniesienie. Tymczasem zaś objął rządy majątku napisawszy tylko do Staroście błagalny list, aby mu choć na próbę mimo niedoświadczenia jego i młodości powierzono miejsce zmarłego.

Po śmierci męża Ewa stawszy się nagle panią wcale pięknego funduszu, otarłszy łzy, bo jak mówiono wów-

czas, było je czem otrzeć, poczęła myśleć o sobie. Wprawdzie podobał się jej Janek, ale mogła znaleźć sobie daleko pozorniejszego męża i wyjść za dzierzawcę najmniej, albo i za dziedzica wioski. Piękna, młoda i nie uboga, czekała tylko by z niej spadła nudna żaloba. Janek począł także myśleć głęboko, co począć; marzył on tak świetną dla siebie przyszłość, że Ewa w niej już mu się zdawała zawadą. Z jednej strony był to dobry szczebel do wyższych stopni, z drugiej kto wie, może ciężar i przeszkoda?

Dodajmy, że się nie domyślał wcale, ile po sobie Dracz zostawił i połowę ledwie przypuszczał. Wahał się teraz czy się ożenić, co mu się zdawało najłatwiejszem, czy podać oskarżenie na rządzcę i przyaresztować wdowę.

Ewa ani się mogła domyśleć co jej groziło.

Ona także dorwawszy się swobody, rachowała i namyślała się, a choć ładny chłopak nie był jej obojętny, postanowiła się nie spieszyć, cóż kto wie, mógł się trafić i posesjonat i familjant i personat pozorniejszy od Janka? Póki była biedna i uciśniona, dobry jej był i Janek, teraz zdawało się, że większych honorów i szczęścia dostąpić łatwo.

Na chwilę więc stosunki ich ostygły i przerwały się. Janek tylko starał się aby nie wyjechała z Żalic i nie wyniosła z sobą funduszów, które w razie gdyby w obce ręce wpaść miały, mógł dowodząc kradzieży Dracza, przytrzymać.

Po głębokich namysłach, w kilka tygodni po śmierci Dracza, gdy już tymczasowym rządcą majątku został, wyszperawszy lepiej pozostałości nieboszczyka i wyrachowawszy, że ożenienie z jego wdową, młodą jeszcze acz znacznie od Janka starszą może być dobrym krokiem do przyszłości, przystąpił nasz chłopak do stanowczego oświadczenia.

Wdowa była sama jedna w swoim pokoju i siedziała na sepeciku gdańskim, nogi pod siebie wziawszy jak miała we zwyczaju, gdy Janek o zmroku przyszedł do niej z ukłonem.

— Dobry wieczór Jejmości.

— Dobry wieczór panie Janie.

Tak się poczęła rozmowa, Janek pochodził od drzwi do okna, potarł czoło raz i drugi i przysiadłszy się do wdowy, biorąc ją za rękę rzekł z cicha:

— A co Jejmościuniu będzie z nami? jak myślicie.

— Co mam myśleć, alboż co ma być?

— A jakbyśmy my po roku i sześciu niedzielach, poszli do Proboszcza po błogosławieństwo?

— A nam to do czego? odparła raźnie wdowa, albo to mnie nie dosyć małżeństwa! — Daj Boże nieboszczykowi wieczny pokój, ale coś skosztowawszy godów tych, nie chce się drugi raz kłaść zdrowej głowy pod Ewangelią.

— Takiz przecie po wiek wieków nie zostanieie wdowa?

— Kto to wie?

— Alboż to już każdy mąż ma być do nieboszczyka podobny?

— Wszyscy oni tacy, póki się stara, to się kłania, a jak weźmie to bije.

— Ależ Jejmościuniu, ja bym kochał, toć kochając to się inaczej żyje.

— A długoż się kocha? Porzuć Wasan — czy to my nie wiemy waszego kochania. Ja od Waszeci starsza, choć tak nie przestarzałam, ale zawsze wam jeszcze o ożenieniu nie myśleć, ani mnie też.

— To taki ostatnie wasze słowo, Jejmościuniu?

— Ostatnie nie ostatnie, a po co mam się spieszyć?

— Ej to to tak! — zawołał Janek — pókim ja Jejmościuniu narażając się służył, pókim za życia nieboszczyka wkręcał się by złodziej, żeby Jejmość trochę pocieszyć; uśmiechała mi się i dziękowała; a teraz nowe sitko na kółku.

— Jakie nowe sitko? żadnego niema — Waspan daj mi pokój!

— Czy to Jejmość nie pamięta, cośmy nieraz mówili?

— A co mieliśmy mówić; ot poszedłbyś lepiej do

siebie, a mnie dał pokój. Z piekarni słyszą głos Warszeci, a ludzie aby co gadać mogą, już i tak to nie pięknie, że ja tu siedzę w jednym prawie domu z młokosem.

— Zaraz pójde — rzekł wstając Janek — trochę zagniewany, ale jeszcze raz pytam się Jejmości, to taki mnie nie chcecie?

— Albo to czas o tem mówić?

— Dla mnie to i bardzo czas — rzekł zmieniając głos i postawę chłopak. Ot dwa słowa i rzecz skończona. Powiem Jejmości prawdę. Nieboszczyk całe życie kradł, mam na to dowody, co jest po nim, to kradzione, na co tu obwijać, jak Jejmość nie pójdziesz za mnie, pokażę jego złodziejstwa, zaaresztuję co jest i zostaniesz się albo z małym albo z niczem.

Wdowa porwała się z sepeciku.

— To już tak! — zawołała — to już tak!

— A tak, kiedy Jejmość mnie dobrego przyjaciela z kwitkiem odprawiasz, to pokażę co umiem. Bo ze mnie kiedy druh to od serca, a nieprzyjaciela, to pilnuj się!!

Ewa upadła znów na sepecik i poczęła płakać.

— A! ja nieszczęśliwa — zawołała — co tu począć, co tu począć!

— Poradz się Jejmość ludzi, kiedy chcesz.

— Ale ja wam panie Janie nie odmawiałam, toć tylko proszę, dajcie mi na czas pokój!

— Tak póki się nie wywieziecie i nie pochowacie co gdzie jest. Ale nie głupim, chcesz Jejmość to masz i wóz i przewóz, co nieboszczyk Dracz zostawił wiem i grosza nie dam urwać, a może jeszcze Jejmościemu posagowi się dostanie. — Ot tak, słowo, ręka i będzie po wszystkim.

Potem szepnął jej coś na ucho — wdowa odepchnęła i płakała ciągle.

— Namyślcie się — dodał.

— Słuchajcie no — po chwili śmielszym głosem zawołała Jejmość, nie myślcie żebym się bała, wdowa znajdzie opiekunów i obrońców, ale Bóg widzi, mam

i miałam do was serce, pocóż mnie zmuszacie przed czasem?

— To dajcie mi słowo i....

Tu schylił się jej do ucha; wdowa już go nie odepchnęła, siedli oboje na sepeciku; my wyjdźmy z izby.

Nazajutrz Janek przeniósł się do mieszkania pani Draczowej i dla nikogo już tajemnicą nie było, że się z nią ożeni, bo żyli z sobą od tego czasu jak mąż z żoną.

Wszystko się więc kleiło i udawało Jankowi jak niemożna lepiej. Czemuż nie był szczęśliwy? Nie wiem: ale niespokojne miał nocy, ale dnie pędził w kłopotcie z tą przyszłością, do której szedł, a do której jeszcze było daleko! Ewa do niego, on do niej nie miał przywiązania, oboje niedowierzali sobie, bali się siebie, kryli przed sobą i powoli skrycie nienawidzić poczynali. Janek podejrzewał ją, że mu kryła nieboszczykowski skrypta i dukaty, ona go nienawidziła, że ją do oddania się zmusił. Któż nie chce mieć woli własnej? Przewidywała także wkrótce niewolę drugą, tylko innego rodzaju; a że serca nie miał Janek, odgadła dawno, powierzchownie żyli z sobą jak należy, ale wojna domowa jeszcze się przed ślubem poczyniała. Ona przed nim się taila, on ją szpiegował, ten chciał zagarnąć, ta dać nie chciała.

Że w pierwszym roku po śmierci Dracza, Janek pokazał i dał daleko znaczniejszą intratę z Żalic niżeli kiedykolwiek była, Starościna zawsze potrzebująca pieniędzy, wymogła na mężu, że ten, którego on młokosem nazywał, pozostał przy rządzie majątku.

Jak tylko upłynęła zwyczajna żałoba, trwająca rok i sześć niedziel, Janek pośpieszył związać się dożywotnim węzłem z wdową, która rada nierada, oddała mu rękę swoją. We trzy miesiące po ślubie już mieli synka, który jednak wkrótce umarł z kokluszki.

Gdy się to dzieje w Żalicach, a Janek nie ma czasu dowiadywać się o matkę, choć to by mu łatwo przyszło, bo Lutyńskich Wulka tuż pod Żalicami; Marek powędrował do Krakowa o ubogim chlebie, i oświadczywszy się starszym Cechowym, wpisał w Cech jako wędrowny Czeladnik, począł pracować w starej stolicy. Łatwo znalazł sobie Majstra, bo pokazawszy próbę, nie obawiał się, by kto co zarzucił jego robocie. Spokojny i pracowity, choć to praca ciężka, siedząca, nudna, umiał się godzić z losem i wiele od niego nie żądać. Stara Maciejowa nauczyła go wcześniej, że nie w groszu i bogactwie, ale w samym człowieku jest szczęście jego lub nieszczęście przyszłe. Marek też nie sięgał myślą wysoko, a w marzeniach dalej nie wlatywał nad uczciwą izbę, młodą i dobrą żonę, piękny szyld czerwony i spokojne pod nim życie. Chrześcijańskie wychowanie dawało mu ten spokój duszy, tę pewność szczęścia w każdym stanie, którego nie w braku jego dać nie może. Żrana pomodliwszy się wesoło, siadał do roboty, wyśpiewując pobożne pieśni lub rażnego Krakowiaka, jadł zapracowany chleb smaczno, wstawał od roboty rad z siebie, a pochodziwszy po mieście, pogadawszy z braćmi i towarzyszami o starych dziejach, zasypiał do ranka snem pracowitych i pocziwych. Nazajutrz rano dzwonek Bernardyński budził go do stolka, do bani i do dratwy a szydeł znowu. Tylko niedziele a święta były wypoczynkiem rokosznym, któregoby wartości nie znał Marek, gdyby przez cały tydzień nie pracował tak pilnie. W niedziele wydobywało się najświeższe odzienie, czeladnicy szli do Cechowej kaplicy do swego ołtarza na nabożeństwo. A jaka to była pociecha nieść chorągiew swoją za procesją! Jak ochoczo młody chłopak brał udział w uroczystościach religijnych kościoła i miasta. Jakie to niezamącone niczem i pocziwe wesele towarzyszyło obchodom świąt Bożego Narodzenia, Jasełkom, Gwiazdzie, Zwierzynieckiemu konikowi, rezurekcji, Rękawce i strzelaniu do kurka.

Ile to potem było do mówienia siadłszy przy warstacie, jak głośnie rozlegały się śmiechy, jak szczerza

pracy towarzyszyła ochota i radość. Choć dojadło nieraz siedzenie na niskim i twardym stolku cały dzień Boży, ledwie przerwane wybiegiem na miasto z butami lub za posyłką pani majstrowej; — pocieszał się Marek temi słowy Maciejowej, że człowiek stworzony do pracy, że praca jest rodzajem modlitwy Bogu milej.

Skutkiem przywyknienia od dziecinstwa, nie pomyślał nigdy nawet, żeby żyć można leżąc brzuchem do góry i nie nie robiąc. W niedziele nawet czasem, gdy nabożeństwa, zabawy i przechadzki się przebrały, tęsknił za robotą. Czasem w wolnych chwilach wpadła mu książka do ręki; o z jakże naiwnem uszczęśliwieniem w niej czytał! Zdawało się, że umyślnie czynił to powoli, aby się lepiej nasycić! Życie Chrystusa było jego ulubioną książką; Maciejowa mu ją odchodzącemu na wędrowkę ze Złotym Ołtarzykiem i Katechizmem darowała.

— Życie Chrystusa — powiedziała mu oddając te skarby — powinno być dla nas ciągłą nauką; dla nas zwłaszcza ubogich ludzi. Jak my był On ubogim, jak my cierpiał, On pierwszy powiedział, żeśmy braćmi wszyscy; On nauczył, że jedni dla drugich poświęcać się powinni, wszyscy się kochać, wszystko przebaczać. Możnaż się nazywać Chrześcijaninem, a nie chcieć naśladować Mistrza Chrystusa? Czytaj Marku — mówiła — módl się i pamiętaj, o pamiętaj, że nie ten szczęśliwy kto bogaty, nie ten szczęśliwy kto wielki, kto sławny; ale ten, kto umiał kochać jak Chrystus, jak Chrystus przebaczyć, jak On cierpieć. Spokojne sumienie to jedyne szczęście. W Złotym Ołtarzyku są stare modlitwy tak pocziwie napisane, że najzimniejsza dusza rozgrzać się niemi musi. W kancyerkach są pieśni, których rzewności i piękności żadna nowa nie wyrówna. Pisali to insi ludzie, ludzie prawdziwie pobożni.

Takimi to słowy stara szewcowa dawała nauki odchodzącemu Markowi, którego klęczącego pobłogosławiła płacząc. Kto wie — mówiła — czy ty mnie z powrotem zastaniesz! módl się za moją duszę, ja, jeśli Bóg pozwoli, choć z drugiego świata na ciebie

poglądać będę. A bądź poczciwy moje dziecko, i nie strać wiary; wszystko odzyskać można, jedna to strata niepowetowana.

Marek od dzieciństwa kołysany temi prostemi naukami, przejął się niemi do gruntu duszy, nie go już zepsuć nie mogło. Tak mu też było dobrze na świecie z tą zbroją chrześcijańskiego człowieka! Nie przerażała go ani przyszłość, ani cierpienie, ani ubóstwo; bogactwa ani żądał, ani pojmował potrzeby, o przyszłość był spokojny, bo ją złożył w ręce Boże. Choć też niesłusznego ukarania nie ścierpiałby, i majster to widział, a ceniąc go jako wybornego robotnika, zrazić się obawiał. Owszem radby go był zatrzymać, bo przy Marku i reszta czeladzi i chłopców jakoś lepiej robili i sumienniej. Nie potrzeba było pilnować nieustannie kradzionej roboty na własny rachunek jak przedtem, bo Marek przekonać potrafił, że i podziewanie tajemne na swą korzyść jest kradzieżą, skoro się raz swoją pracę i czas sprzedało. W warstacie on rej prowadził, i spuścić się na niego było można wysmienicie; nie tylko nie próżnował, ale próżnować nie dał, nie ukradł i ukrasć nie dopuścił. Majster Florjan, porachowawszy wszystko, rad był poswatać mu Martę swoją donię, ale Marek w dziewczynie nie smakował. Byłać ona ładna i bardzo ładna, ale trzpiot, ale próżniaczka jakich mało; stać na progu, ząbki wyszczerzać, lub w alkierzu się muskać, tyle tylko umiała; roboty nie wzięła w rękę, a czeladzi swojemi śmieszkami w izbie przeszkadzała jeszcze. Nie był Marek obojętny pannie Florjanównie, ale on na nią ani patrzył; za to ile było czeladników, wszysej się nawet z drugiej ulicy w niej kochali. Matka nie żyła, stara tylko sługa była towarzyszką Marty,

a starej jakoś nie do rzeczy z oczu patrzyła; Florjan większą część czasu spędzał na poniedziałkowaniu, tak, że od niedzieli do niedzieli poniedziałki obchodził; dziewczę robiło co chciało.

— Co to za szkoda! mówił w duchu Marek, patrząc na nią ukradkiem, gdy szła strojna w ulicę, że to tak rośnie jak pokrzywa pod płotem! co to za szkoda!

Z końcem roku Marek, począł się wybierać od majstra Florjana, ale ten tyle na nim wymógł, wyprosił i wyrobił nieustannemi naleganiami, że Marek jeszcze pozostał u niego; wymówił sobie tylko kilka tygodni czasu, bo chciał pójść w okolice, dla dowiedzenia się o Lutyńskich.

Jakoż, latem to jakoś było, wziawszy woreczek na plecy, kij w rękę, przeżegnawszy się, pomodliwszy, pokłoniwszy towarzyszym, zapakowawszy papiery swoje, ruszył Marek ku Żalicom. Już był się trocha rozgadał, gdzie była Wola Lutyńskich, i tam prosto dążył: — ale z niewielką nadzieją. Dwadzieścia z górą lat upłynęły od czasu tych wypadków i ludzi, o których mu się dowiedzieć potrzeba było. Domek w którym mieszkał stary Lutyński, zwany i znany w okolicy Szaloną pałką, zastąpił już nowy dworek nowego posiadacza Woli. Wola ta od bardzo dawnych czasów rozpadła się na części i cząsteczki, a tak zwana Wólka Lutyńskich, nie miała już wieśniaków osiadłych na gruntach, tylko szmat ziemi, trochę łąk i zarośli górzystych.

Uprawiał ją teraz niejaki Malinowski szlachcic, nabywszy od wierzycieli Lutyńskiego. Długi czas została w tradycjach i różnych rękach, tradycji więc nawet o rodzinie Lutyńskich w samej Wólce trudno było szukać; należało ich po sąsiedztwie zebrać.

Marek zajrzawszy tylko do Wólki, prędko uszedł ze smutkiem w duszy, a odbiegłszy sąsiedztwo i zmordowawszy się napróżnemi po karczmach u starych ludzi pytaniami, nie się nie dowiedziałwszy, lub tak jak nie, ku schyłkowi dnia, znalazł się przy małej chatce, przypartej do spadzistego wzgórza, obwisłemi krzaki pokrytej. Słońce zachodzić miało, a podróżny

był znużony i zrażony, usiadł więc na kamieniu i rzuciwszy tłumoczek i kij przy sobie, naprzeciw chatki spoczął. Malownicza to była, choć biedna lepianka. Co za sztuka w tej niewytwornej budowie! Jedną ścianę zastąpiła góra kamienista, drugą w części stanowił bok parowu, pozostałe dwie z niezmierną pracą związane z gałęzi, pniaków i kawałków drzewa, cudem dach na sobie trzymać się zdawały. Dach ten garbaty, porastał prześliczny mech zielonego aksamitnego koloru, którym Bóg stroi stare dęby i ubogich strzechy upadłe. Po nad nim wyglądał troszeczkę stary także i szczerbaty wierzech komina. Brzozy i sosny na szczycie pagórka porosłe, tuliły chatkę zewsząd i osłaniały. Do jej drzwiczek wypaczonych trzeba było wchodzić po kilku kamykach chwiejących a okienko patrzące na południe tak było małeńkie, tak oszczędnie zaszkłone, że ledwie światelko wpuszczać musiało. Z drugiej strony chaciny, gdzie nie przypierała do parowu, kawałeczek lichy niwy, obrzucony kamieniem, obrosły tarnem, stanowił ogródek, z którego tylko wychyliła się dynia ze swemi liśćmi ogromnemi i żółtym brzuchem i żółtym kwiatem.

Takie to było ubogie, biedne, a tak piękne w swej prostocie i ubóstwie, że Marek nawet, nie zwykły szukać piękności, gdzie ją niełatwo było znaleźć, wpatrywał się z jakimś zadumaniem w drzwi chałupki. Ostatnie słońca blaski padając na dach i główną ścianę lepianki, złociły ją załotnie jakby na umyślnie.

Na ciemniejszych barwach parowu i szarych kamieni, gałązki brzoź i drobnych krzewów, odskakiwały ozłoczone silnem światłem misternie i drżały w powietrzu migając. Stado szarych wróbli polatywało nad gałęzmi swiergocząc.

Gdy Marek jeszcze poglądał na drzwi przymknięte ciekawie, że skrzypem uchyliły się powoli i starzec z siwą długą brodą, w szaraczkowej sukmanie, z kijem w rękę, wysunął naprzód głowę, potem bosą nogę żyłastą, aż i cały stanął na kamieniu próg stanowiącym. Zdawał się chcieć przypatrzeć podróżnemu, i z daleka zgasłym głosem odezwał się do niego:

— Nie, mój ojcze, odezwał się Marek zbliżając z kijem i tłumoczekiem, i pokłoniwszy się siadając znów na darni. — Siadłem odpocząć, bom się strudził — a i wodybym się napił, gdyby była!

— Źródełko ocembrowane ot tam! rzekł wskazując w lewo starzec, jest i czerpaczek przy niem, ja wam wody nie przyniosę, bo nie zdążam, ale to kilka kroków tylko.

— Dziękuję za pokazanie, pójde i sam — mój ojcze. To mówiąc wstał Marek i kilkanaście kroków uszedłszy, znalazł w istocie pniak dębowy wbity w piaszczyste źródło, z którego mruczając sączył się rozpadlina małeńki ruczajek. Woda była czysta jak kryształ i chłodna, nie tylko więc napił się jej, ale się nią obmył, bo mu twarz paliła, i powrócił ku chatce. Zastał już starca siedzącego na progu, opartego na rękę, z dłońmi skrzyżowanymi na kiju; wpatrywał się w zachodzące za góry słońce.

Marek usiadł na darni nie opodal, i naturalnie poczęła się rozmowa od podziękowania za wskazane źródło.

— A wy z daleka? spytał stary.

— I z daleka i z nie daleka, rzekł chłopak powoli. Jestem czeladnik wędrowny, a teraz z Warszawy wyszedłszy, terminuję w Krakowie znowu u majstra.

— Jakiegożecie rzemiosła?

— Szewc jestem. —

— Ciężki to chleb! rzekł stary.

— Co za ciężki? odparł Marek.

— A jużciż, w mieście się wędzić, Bożego świata nie widzieć, to nie rozkosz.

— Ale i nie bieda.

— Wolałbym cięższą pracę, pod gołym niebem i nie w mieście.

— Boście to znać przywykli do waszego życia, to wam się tak zdaje, że już innem nie wyżyć.

— Może to być, toż i więzień do kajdan przywyka!

I zamilkli oba.

— Niech będzie pochwalony. — Może drogi szukacie?

— A cóż was w tę stronę zagnało? spytał stary po chwili.

— O! to długa historia, mój ojcze.

— Naprzykład jeśli zapytać się godzi?

— Ot, moja matka była tu z tych stron, chciałem się o niej co tu i o rodzinie dowiedzieć, rzekł Marek.

— A zkądże była matka wasza?

— Z Wólki Lutyńskiej?

Stary odwrócił głowę.

— I jakże się nazywała?

— Tekla Lutyńska.

— Tekla Lutyńska! Tekla, to młodsza była! rzekł starzec.

— Wiecieście ją znali, porwał się Marek i przybliżył do dziada.

— A jakże nie, u Szalonej pałki, bo to tak ojca Elżbiety i Tekli nazywali, służyłem za gumienego.

— Mój Boże! mój Boże, ach! cóż to za traf szczęśliwy; więc mi powiecie co może o Tekli Lutyńskiej, o mojej matce, mój dobry ojcze.

— Co pamięć zasięgnie i owszem mój chłopcze — z serca. Siadźcie no tylko spokojnie i dajcie mi myśli pobierać, bo to się na starość jak przzerwany różaniec porozlatywało; a słuchajcie uważnie co wam powiem. Może się wam to na co przyda. — Stary Lutyński, waszecin dziad taką rzeczą, mieszkał w Wólce, gdzie teraz Malinowski, ale w starym dworku, za wałami którego teraz ani śladu. Zwali go wszyscy Szaloną pałką, bo też taki był: dobry człowieczysko, ale zawaady jakich już teraz nie widać. Bywało, gdy śpi, to przez sen klnie — zje sto djabłów z ogonami, a szabla mu u węgłowia leży. Rębacz był zawołany na całe Krakowskie, ba i na Sandomierskie, i taki więcej z szablą niż z kawałką ziemi w Wólce się utrzymywał. A prowadził życie osobliwsze.

Znano go okolicznie na mil kilkadziesiąt, to bywało jak tylko taka sprawa, że w dłoń pluławszy trzeba w szabelkę zagrać, Lutyńskiego wzywają, a z nim jego szlachtę, co mu służyła na podziw choć w ogniu, choć

w wodę. Wszystkie partje sejmikowe starały się mieć z sobą Lutyńskiego, bo z kim on był — wygrywał. Pokręciwszy wasa i klnawszy po swojemu, jak począł krzyżową sztukę, to i adwersarzy poprzepędzał, i lby popłatał, i na swoim postawił. Miał się też z tego dobrze i wysoko podgoloną głowę nosił, a w kaszę mu nikt nie napluł. Bywało w domu choć gospodarstwo po djable idzie, dostatek zawsze i grosz w kieszeni. Tylko lichu wie jak, co się przyzbierało łatwo, jakoś wyciekało niewiedzieć jak i gdzie, choć był skąpy, że nigdy nic zebrać nie mógł. Owdowiał wcześniej i pozostały mu się dwie córki, Elżusia bardzo piękna dziewczeczka, i Tekla, która także była niczego. Ale to się chowało samo pod piecem, a bez matki, to też i niewielki los zrobiły, zwłaszcza druga. W Elżusi pokochał się Jan Mylżyński z Żalic, ta i musiał się z nią ożenić, choć mu się nie bardzo chciało, i z tą nie wiem co się zrobiło; a Tekli to taka historia: — Szlachetka tu z okolicy, Adam Porębski, mówią niepewny szlachcie, zaraz po wyjściu Elżbiety za Mylżyńskiego, rozkochał tak Teklę, że za nim z domu rodzicielskiego uciekła. Stary Lutyński w taką wpadł wściekłość, że zakławszy się, iż córki więcej nie zobaczy, a Porębskiemu w łeb strzeli, czyhał tylko na niego. Porębski musiał uciekać z żoną (bo mówią, że się pobrali) do Warszawy o ostatnim groszu, bo był ubogi. W drodze jakoś chwyciła go gorączka, i zostawiwszy Teklę na zleżeniu, w karczmie na gościńcu umarł. Ledwie go było za co pochować. Co się stało z Teklą, waszą matką potem, Bóg wie, a ludzie różnie pletli; mówią, że powrócić chciała do ojca, ale ją nie przyjął, i tak gdzieś zmarła nieśczęśliwa takóž. Ot i wszystko. To mówiąc stary westchnął, a widząc, że chciwie słuchający go Marek, milcząc, dodał:

— Dawne to czasy, a jam już i wówczas, kiedy się to działo, nie był młody; pamięć pogubiła wiele, tyle tylko przypomnieć mogę. Stary Lutyński na Sejmiku przez łeb cięty, długo z rany żartując i chlebem tylko a

pajęczyną ją zakładając, zawsze do ostatka po swojemu żył, jakoś mu się przyrzuciła gangrena i umarł.

Marek milczał, dwie łzy spływały mu po policzkach, nareszcie spytał dziada:

— A gdzieżby Tekla z Porębskim, ojcem moim, ślub wziąć mogli.

— Nie gdzieindziej jego w parafji tu której, albo do Wólki, albo do Stojewa, gdzie mieszkał Porębski. Chcielibyście pewnie metryki ślubnej poszukać?

— Nie mam jej właśnie.

— Pójdźcie po księżach, a kto wie, jak Pan Bóg pomoże, to się może i znajdzie, bo taki pamiętam, że ludzie mówili, jakoby ślub wzięli.

— Niechże wam Bóg płaci, zawołał Marek, przynajmniej od was cokolwiek się dowiedziałem. Radbym więcej słuchać, ale noc nadchodzi, noclegu gdzieś szukać potrzeba.

— Noclegu? rzekł stary — ha! gdybyście chcieli, tobyście i tu u mnie przespać się mogli w alkierzyku. Ja i moja Anusia mamy dwie ciupki osobno, a tam tylko trochę siana dla kóz, toby i na posłanie stało.

— Ale ja wam zawadzę!

— I, dajcież pokój! Prawda, że stare dziadziśko nie przyjmie was wyśmienie, bo niema czem, ale z dobrego serca. Kawałek chleba, choć czarnego, jeszcze się trzyma, kawałek koziego sera się znajdzie, woda kryniczna i trochę kaszy, to i po wieczery.

— Im mniej macie, tem mi ciężej będzie was objadać, rzekł Marek.

— A dajcie pokój! dajcie pokój! Ubogi się chętnie dzieli, bo jutro ma u Pana Boga w kieszeni. Prawdzieć mało mam i to z łaski Bożej tylko, ale jaka to radość podzielić się ostatkiem.

— Z czegoż wy tu żyjecie w tym łątku? spytał Marek.

— Z łaski Bożej, wylepiłem sobie chacinę, temu lat będzie kilkanaście, i nikt mnie jej nie broni; wydarłem trochę ziemi na ogródek, to się tam czasem co posieje. Mam kóz kilka, a póki sił stało, to się

bednarką bawiłem, a i Anusia nie próżnuje. Cały mój kłopot co to się z tą niebogą wnuczką moją stanie jak ja oczy zamknę. Nie już jej tu samej jednej zostac w chałupie takiej młodej i sierocie, toby to pierwszy wilk zadławił! i zmarnowałoby się Boże broń. Oj! gdyby nie to mnie na świecie trzymało, dawnoby już starym oczom należało się zamknąć do spoczynku. Bo i czas! Mam bez mała sto lat, bo małem chłopięciem pamiętam Króla Jego Mości Jana III. jak jechał na Turka pod Wiedeń.

— Nie macież krewnych?

— Krewnych! Żywej duszy! Ja chłopięciem małym sprowadzony zostałem tutaj z Mazowsza od Płocka i i cały wiek tu spędziłem. Jedną miałem córkę, a po tej mi się tylko Anusia pozostała, i nas tak dwoje tylko na szerokim świecie — ale Pan Bóg łaskaw, nie da zginać sierotom.

— Dobrze robicie, że Jemu ufacie, nikogo On nie zawiódł!

— Wiem ci ja to przez długie życie, lepiej od was Toć i to opatrność Boża, że żyjemy, bo nas żywi gdyby ptaszęta łaską swoją niewidomie. Alboż i to nie łaska Jego, że mi daje życie póki o sierotę moją nie będę spokojny? Teraz już i pracować nie zdążam, a przecie chleb jest. Świat już mnie obrzydł! tęskni dusza do Boga, a umierać nie czas. To tylko łaska jeszcze, że mnie Bóg dał w tej chacie zamieszkać; już gdzieindziej zdaje się bym nie wytrzymał! Tu cicho, że nie słyhać jak sobie życie płynie. A nawykły od młodu do pól, do gór i gołego nieba, patrzę się przynajmniej na nie i przypominam sobie stare moje lata, lepsze lata! oj! lepsze!

Marek zamyślony nie przerywał opowiadania dziadowi, który tak gwarzył po cichu, to gładząc siwą brodę, to spoglądając w stronę, z której się wnuczki Anusi spodziewał.

Słońce już było zaszło, a niebo czyste poczynalo przybierać ciemniejsze barwy wieczorne, zdala słyhać było beczenie trzód i śpiewki pastusze rozlegające się

po górach. Nagle szybkim krokiem idąca ku chacie z kilkorgiem kóz bieżących wesoło przed nią, pokazała się dziewczynka z wiązką chrustu na głowie.

Bosa, w spódnicy i gorseciku, w białej koszulce, z długimi kosami jasnych włosów, spuszczonej na plecy, biegła Anusia jak kózka za kozami, poskakując a niespokojnie oglądając się za siebie. Była młodziuchna jeszcze, i nie wiem czy poczęła rok piętnasty, tak szczupłą i tak nierozwiniętą się pokazywała.

Twarzyczkę miała dziecięcą, nóżkę dziecka i wejście niewinnego niemowlęcia, łzawe, wesołe razem i nieświadome życia. W tej chwili przestraszył ją malował się na zarumienionej twarzy, a uczucie to zdawały się podzielać kozy, które biegły przed nią: gubiła po drodze chróst, który ubierała na ogień wieczorny, i oglądała się trwożliwie.

Postrzegłszy dziada, zwolniła kroku, a widząc kogoś nieznanego, instynktownie poprawiła włosy, wstrzymała się, potem obejrawszy śpieszniej jeszcze zbliżyła się do chatki. Marek poglądał na nią z ciekawością i jakimś politowaniem razem i radości uczuciem. Pomimo opalonej twarzy i ubogiego stroju, była piękna jak małe dziewczęta, a miała w sobie coś tak łagodnego i miłego, że nawet podróżni, co ją spotykali, musieli mimowolnie odwrócić się, by ją jeszcze raz zobaczyć, jak się odwraca ku jakiemu osobliwzemu zjawisku.

— To coś szczególnego, rzekł stary, że powraca bez piosenki, i leci tak żywo. Nigdy ją taką nie widział.

Ledwie tych wyrazów domówił starzec, gdyż za urwiska wychylił się jeździec na koniu porządnie ubrany z myśliwska, młody jeszcze, błąd, z uśmiechem złowrogim na ustach i rozognioną twarzą.

Marek mimo zmroku poznał w nim zaraz podróżnego, którego spotkał w Wygodzie, był to bowiem Janek.

— A! takim przydybał aż na miejsce, moja Malinko! wołał Janek, i wiem teraz gdzie się kryjesz! To mówiąc zobaczył i poznał Marka, spojrzał na starca. Dziad, pomimo wieku, porwał się z kamienia, na którym siedział, i potrząsając kijem, zabierał się coś

powiedzieć: ale mu gniew i oburzenie nie dały z początku wyrzec słowa.

— Po co ganiacie się za dziewczyną, zawołał wreszcie. — A macie to Boga w sercu, nieboże to straszyc!

— Albo co? spytał Janek, wstrzymując konia — cóż to myślicie mi zabronić?

— A któż, jeśli nie ja? odparł stary, moje to dziecko.

— I cóż z tego! Dobrze, że wiem, iż wasze — będę wiedział gdzie go szukać.

Starzec trząsał się z gniewu.

— Bez Boga w sercu! bez Boga! rzekł ze złością, kijem potrząsając — o gdyby mi młode moje lata, nauczyłbym cię; paniczu!

— Ty! ty! Jankowi zaiskrzyły się oczy, podpedził konia i poskoczył do starca podnosząc batóg, który trzymał w rękę, Anusia krzyknęła straszliwie, obejmując dziada rękami; ale Marek, chwyciwszy podróżny kij, już zaslaniał dziada, i srogim wzrokiem zmierzyszy Janka, krzyknął:

— Ani kroku dalej, lub łeb ci rozbiję!

— Ty mnie! włóczęgo! zawołał Janek i zmierzzył się na niego; ale nim spuścił rękę, już z konia zrzucony leżał na ziemi.

Marek pierwszy mu wstać pomógł, nie chcąc ze zwycięstwa korzystać. — Wstawaj, rzekł, paniczu, siadaj i ruszaj z Bogiem, a nie pokazuj się tu więcej.

Szybko pochwycił się na konia Janek, ściągnął ze złością i iskrzącymi oczyma cugle koniowi, odstał i grożąc ręką zawołał:

— Czekaście, to nie koniec. Żalicy niedaleko od Wólki, a rzadca Żalicki da się wam we znaki, popamiętacie dzień dzisiejszy!

— Pamiętacie także, odparł mu Marek śmiało, że ja tu na was czekać będę!

Janek w cwał zaciąwszy konia ujechał.

— Bóg zapłać, rzekł stary, padając raczej niż siadając na kamieniu i łysę czoło obejmując rękami. —

Bóg zapłać — więcej powiedzieć nie mógł. Anusia już się była schroniła do lepianki.

— To rzadca Żalicki! rzekł po chwili dziad. — Kaduk nadał mu zobaczyć Anusię, teraz dnia i nocy nie będzie spokojnej! Słyszałem ja o jego sprawkach! Niema co podobno popasać mnie w tej starej chacie, gdzie myślałem, że życia dokończę? nie ostoję się tu z Anusią! Żalico o staje, nie da nam pokoju, a i na mnie się pomści i na swoim postawi. Srogi dla ludzi i gwałtownik!

— Mie bójcież się, rzekł Marek szybko, ja tu jeszcze kilka dni w okolicy włóczyć się muszę, to na chatę wieczorami najrzę.

— Dziękuję ci mój synu, ale w dzień, ale co godziny lękać się teraz będę o moje wnuczę. Ona w chacie nie wysiedzi; młodemu to potrzeba i słoneczka, i powietrza, i swobody, trudno ją trzymać, a któżby nam kozy popasł i o chleb we wsi się postarał? A tu teraz straszno ją będzie puścić krokiem.

— E! nie bójcie się dziaduniu, odezwał się w tej chwili głoszek już uspokojonej dziewczyny z za drzwi lepianki. — Znam ja ścieżki, gdzie konno nie przejedzie, a dogonić nie dogoni, a zresztą choćby mnie i dopędził, to cóż on mnie zrobi? Zwyczajnie chciałby się pośmiać, ale ja go zbędę, że pójdzie jak zmyty. To już trzeci dzień tak się za mną pędza; a dopiero dziś, że mi się kozy rozbiegały, musiałam wracać taką ścieżką, że mnie aż tu ścigał.

Stary milczał zamyślony, Marek wpatrywał się w piękną główkę dziewczęcia, wychyloną z zadrzwi chaty i ożywioną teraz oczyma takiego wyrazu pełnemi, że czeladnikowi zdawało się, jakby słyszał je mówiące mu coś, czego tylko zrozumieć nie mógł: ale co słuchać było mu tak miło, że byłby wiek przetrwał na milczącej rozmowie. Poczynano ciemnie na dworze, i dziad wprowadził chłopaka do swojej lepianki. Porządniejsza ona była wewnątrz niż powierzchowność jej obiecywała.

Stroiły ją szcłatki lepszego bytu i dostatniejszej przeszłości. Do koła biegly pod ścianami ławy czyste,

podłoga posypana była piaskiem z ruczaju szorstkim i błyszczącym, piec i komin wybielone były schludnie. Łóżko starego stało w kącie przystojnie pokryte, a nad niem torba myśliwska, obrazek N. Panny z Krużganków niezgrabnie na drzewie przez artystę z Bobrka wycięty, gromnica i wianek i palma. Małeńki czysty stół chwiał się trochę, ale podłożony kamyk utrzymywał go od zbytniego przechylenia. Strzelba staroświecka wisiała także na kołku, obok pleciony bizun, czapka barankowa, kij osmalony. Przy łóżku stała skrzynka okuta, pokryta starą kapotą. Przez drzwi do alkie-ryzka widać było izdebkę Anusi szczupłą, z okienkiem na parowu ścianę wychodzącym, ale równie czystą jak pierwsza. Okienko to otwierało się, i w tej chwili nawet było otwarte, a woń brzoź i macierzanki porastającej boki urwiska, rozlewała się po izbach.

Starzec zafrasowany i zamyślony siadł na łóżku, Marek na ławie, Anusia zapasawszy fartuszek, jak myszka zwinna, poczęła się krzątać około wieczery. Niekiedy wesółem dziecinem odzywała się słówkiem i uśmiechem, to spojrzała na Marka, który z niej oczu nie spuszczał, a ile razy spotkał jej wzrok, niedoznane dotąd uczucie jakiegoś nieopisanego szczęścia i pokoju rozlewało się w jego duszy.

Dziewczę było dzikie, proste, ale śmiałe jak dziecko. Widocznie chciała rozweselić pochmurnego starca, opowiadając to to, to owo, czego się dowiedziała po drodze i w blizkiej wiosce. Różne wiejskie nowiny dobywała z pamięci, napróżno niemi chcąc dziada rozbawić. Mówiła mu o Wólce, o urodzajach na łąkach, które znał stary tak dobrze, o zbożu, którego los zawsze gumienego obchodził, o spodziewanej burzy, bo rosy nie było, o tem, że widziała Proboszcza, który o starego pytał, o swoich kozach, o sąsiadach; ale nic na ten raz nie zajęło zamyślnego gumienego. Powiesił głowę, nasepił brwi, czoło zmarszczył, i siedział nieporuszony. Nareszcie Anna przyszyła aż do niego i całując go w rękę, poczęła mu coś szeptać na ucho, poklekła przed nim, żeby mu w oczy zajrzeć, i wymogła, że ją

choć milcząc do serca przycisnął, ale się stary rozplakał.

Marek patrzący na to rozumiał dobrze i myśli starca i strachy. Zgrzybiały dziad obawiał się śmierci i sieroctwa dla dziewczęcia, które bez opieki zginąć mogło.

— Napróżno sobie głowę łamię, rzekł w końcu gumienny, tu nie ma co innego radzić, jak tylko temu wisusowi z oczu zejść na czas, póki nas nie zapomni. Mnie staremu, chyba Bóg nie łaskaw, nie zrobić nie może, a ty Anusiu na jaki tydzień pójdz lepiej prząść do Jeremjaszowej do Wólki. Przesiedzisz tam jaki czas a jak on tu raz drugi zobaczy, że ciebie nie ma, a pokój i zapomni.

— Albo to ja tak mogę was opuścić? spytała Anusia uśmiechając się — a co wy poczniecie bezemnie?

— O! o! bo już myślisz, że sobie rady nie dam bez ciebie. Co mi za wielka sztuka! A dużoż to koło mnie chodzenia, pewnie koło twoich kóz więcej! Nie jem wiele, ognia sobie sam rozpale, krupniku upryszczę; a tylko mi trochę tęskno będzie — ale cóż robić!

— I dalibyście pokój bać się tego panicza! a co on mnie zrobi? Ot pozartował i po wszystkim.

Stary spojrział na Marka, jakby mu co chciał powiedzieć, czego przy Anusi nie śmiał, i poruszył ramionami.

— Już kiedy mówię, to mnie słuchać potrzeba — odezwał się, jutro przed świtem pójdziesz do Jeremjaszowej i do Wniebowstąpienia tam posiedzisz.

— A jak mi Bóg miły, nie wytrzymam nie widząc was!

— No! to tam kiedy w słotę i pluchę, ukradkiem zejdziesz do mnie. — A jutro ot, ten dobry podróżny, z daleka cię przeprowadzi.

— Wy bo mnie dziaduniu, macie koniecznie za dziecko! Albo to ja sobie rady nie dam? O! ho! naprzód tylko ja i moje kozy znają jak ja wszystkie ścieżki i ścieżynki, powtóre wiatr mnie chyba dogoni.

— A koń? spytał stary.

— Koń tam nie przejdzie, gdzie ja.

— Koń przejdzie wszędzie, gdzie człowiek przejść może — dodał stary wzdychając.

Teraz Anusia spojrzała na Marka, jakby mu powiedzieć chciała, że stary sam nie wie czego się boi.

— Po co ja mam tam siedzieć u Jeremjaszowej? dodała, albo to mnie myślicie nie tęskno za moją chałupką, za wami, a nawet za kozami memi? Ja tu tak przywykłam od dzieciństwa, tak znam każdy kamyk i krzaczek, każde drzewko, każdą trawki kupkę, że mi tu tylko jak w domu, a już w Wólce to obczyzna.

— Przecież zawsze tu siedzieć nie będziesz, rzekł stary.

— A czemu? spytało dziewczę.

— Już ciż mnie tu wieki nie żyć! a potem tobie tu samej nie zostać, jak się znajdzie człowiek co ci rękę poda, będziesz musiała pójść za nim.

— O! nie! odpowiedziała Anusia — o! nie! ztąd się nie ruszę. Mnie w tym kątku tak dobrze, w tej chacie tak wesoło, tak miło, żebym ją za pałac nie pomieniała. Mnie tu nawet wróble znają. — A kto mnie ztąd może wypędzić?

— Bieda cię wypędzi! westchnął stary.

— Jaka bieda? albo to człowiekowi wiele potrzeba? — Chleb, woda, dach, a za chatą znajomy świat, na który wyrzecz wesoło, ot i dosyć.

— Dzisiaj! rzekł gumienny, i pokiwał głową.

Gdy tych słów domawiali, a wieczera była gotowa, Marek pomógł ją Anusi przynieść na stół; dawnym obyczajem dobył on swoją łyżkę z za pasa i przeżegnawszy się siadł pożywać z gospodarzem i jego wnuczką. Anusia usiadła przeciwko niemu na zydelku, i więcej podobno patrzył na śliczne dziewczę, niżeli jadł Marek; pierwszy raz na widok jej przyszło mu w życiu na myśl, że mógłby się ożenić.

Po wieczery starzec z sieni na prawo pokazał Markowi komórkę, gdzie trochę siana leżało; czeladnik pożegnawszy starca i Anusię, która mu się uśmiechnęła białe pokazując ząbki, zabrawszy tłómaczek i kij, poszedł smaczno zasnąć na siano.

Nazajutrz rano, gdy się gumienno upierał, żeby Anusia szła do Jeremjaszowej, Marek, który ufność jego wzbudził, uproszony o odprowadzenie dziewczyny, podjął się obojętnie tego obowiązku. Szedł nawet w tę stronę do proboszcza, więc mu nie było z drogi. Anusia próżno się opierała, prosiła go płaczem i śmiechem, starała się dziada przekonać, uparł się stary i iść jej kazał koniecznie.

Przygotowawszy więc wszystko w lepiance, co mogło staremu być potrzebne, rada nie rada wybrała się Anusia, zapowiadając że nie za tydzień, ale za trzy dni powróci, choćby tylko dowiedzieć się o dziada. Kozy przywykłe do wypędzania w tej godzinie, beczwały na próżno, Anna ich wypędzić nie mogła, boby za nią były pobiegły; i dopiero gdy znikła z oczu starego, gumienno zagrodkę im otworzył. Nie turbował się o ich powrót wieczorny, bo nie raz powracały same. Marek żegnając go, szepnął, że się dowie do niego, błakać zmuszony od kościołka do kościołka w tej stronie.

Słońce wschodziło, gdy on i Anusia trochę smutna wyszli z lepianki, na której progu modlił się gumienno. Chwilę szli nie mówiąc, nareszcie dziewczę spojrzało na Marka i odezwano się do niego:

— A to wy z Krakowa?

— Teraz tylko do czasu w Krakowie terminuję — odrzekł czeladnik.

— Mój Boże, jak to wy w mieście wytrwać możecie? — Ja raz tylko byłam w Krakowie, dwa lata temu, a to mi się aż w głowie zawracało. Ludzie tam żyją jak w ukropie, gwar, ścisł, zgłęb i ciasnota, a za murami świata nie widać. Już się do lepiej na wsi u nas, poczęła szczebiotać weselej — jest czem odetchnąć, jest na co popatrzeć. Jaby w mieście tygodnia z nudy nie wybyła.

— Do wszystkiego nawyknać można, rzekł na to Marek, a że ja z dziecka żyłem w mieście. to mnie się zdaje nie tak źle i w tych murach. A i miasto ma piękności. Na wsi nie widzicie takich wspaniałych kościołów i pałaców, co to je przecie na chwałę Bożą i

podziw ludzki ludzie zbudowali. A jakie nabożeństwo!

— Cóż kiedyby mnie w waszym mieście głowa się kręciła, i zdałoby mi się że mnie kto zamknął.

— I ja się wsią nie brzydę, ale tak żyje człowiek jak może, nasz chleb w mieście.

— A macie wy ojca, matkę?

— Nikogo. — Tak, myślę się — matkę przybraną, co mnie wychowała.

— W Krakowie?

— W Warszawie!

— Aż w Warszawie! a jakże to ona was puściła tak samego jednego daleko od siebie?

— A cóż mi się stanie, moja panienko?

— Alboż ja wiem? Ale tak czegoś straszno bardzo, i jej za wami a wam za nią tęskno być musi.

— Jakże nie! rzekł z westchnieniem Marek.

— Cóż wy tu w tej stronie robicie? spytała Anusia.

— Widzicie, moja matka z tych stron była, to przyszedłem dowiadywać się tu o nią, bom jej nigdy nie znał, a mało co o niej i wiem.

— A! i ja mojej nie pamiętam, szepnęła Anusia — ani ojca. Stary mnie sam wykołysał: on mnie ojcem i matką! Mój Boże, to taki dobry pocziwy dziad. Ot i teraz trzeba mu było, nie wiedzieć dla czego, odprowadzić mnie do Jeremjaszowej! A jak on tam sobie rady da, to nie wiem. Prawda że chrust jest, że woda niedaleko, że jemu dziś w nocy wszystko a wszystko nagotowałam na cały tydzień i po księżycu przeparałam drugą koszulę na niedzielę — ale wszystko taki jemu będzie i ciężko i nudno.

— Ja tu wstąpię do niego dzisiaj — a może — dodał, i jutro. W myśli zaś powiedział sobie, i przez cały tydzień. — Nie bójcie się.

— Jak to? bylibyście tak pocziwi? pochwyciła Anusia żywo — doprawdy?

— Szczerze — doprawdy — nie bójcie się, wcześniej powrócę i jeść mu zgotuję, i wody przyniosę i drewek się postaram.

Anusia nie dowierzała, ale taka była rada, tak się

jej oczki zaświeciły, że Markowi aż serce zaskakało z radości. — Ale dla czegoż wy byście to zrobili? spytała po chwili smutniejąc.

— Dla czego? Ot tak! — wszak ci to mała rzecz bardzo. Ja sierota, wy sieroty, co to za dziw że jeden drugiemu pomoże.

— Pan Bóg wam to nagrodzi!

— O! nie ma za co. A wreszcie nie myślcie żebym to ja robił wielką rzecz. Ja tu nie mam ani znajomego, ani kąt, muszę jeszcze się dni kilka włóczyć, do brze mnie mieć kąt gdzie głowę przytulić.

Anusia popatrzała na niego i weselsza rozśmiała się. — O to! chwała Bogu, rzekła, o dziada będę spokojna. To mówiąc dochodziła do Wólki, i gdy już nie opodal chatę Jeremjaszowej widać było na pagórku w gruszach, Marek pożegnał Anusię, która mu się uśmiechnęła wesoło i poskoczyła ścieżką zarosłą, parę razy obracając główkę, żeby go jeszcze raz zobaczyć. Marek zdaleka stojąc, patrzył aż mu z oczu znikła.

My wróćmy do Janka, któregośmy zostawili szczęśliwym małżonkiem wdowy po Draczu i jego szkatułki spadkobiercą. Małżeństwo to wcale nie było szczęśliwe: wdowa zmuszona do niego, miała niechęć widoczną do narzuconego męża, a mąż wkrótce ją sobie zbrzydziwszy, wczesnie zestarzały, począł jak stary rozpustnik uganiać się za najmłodszymi dziewczętami. Nie uszło to baczności Ewy, która co wieczora, co ranka skakała do oczów Jankowi; Janek się bronił, czasem nawet nieboszczykowskiego dobywając harapnika.

Cały dzień spędzał potem na koniu, koło gospodarstwa, którego dla starosty nie tyle, ile dla siebie pilnował; na polowaniu, w którym szukał rozrywki, lub latając za wieśniaczkami i szlachciankami z okolicy.

Ale to wszystko były tylko rozrywki, celem wa-

żniejszym życia ciągle dla niego stało w oczach wzniesienie się i emancypacja z służebnictwa. Mógł wprawdzie wynieść z niego, kupując majątek za pozostałość po Draczu, ale z drugiej strony żał mu jeszcze było tego, co rządząc kluczem sam mógł jeszcze zbierać.

Tymczasem tylko napatrywał sobie wioski, powoli targował i myślał coby kupić. Wólka Lutyńskich choć nie osiedlona, dawała się tanio nabyć od Malinowskich, przy niej tuż były dwa folwarczki, już także zatargowane przez Janka.

Zwlekał tylko nabycie, spiesząc co można schwytać, nimby Żalice opuścił. Ciągłe troskanie się około grosza, swary z żoną i kłopoty gospodarskie rządzcy, nie dały mu dotąd pomyśleć o dowiedzeniu się pochodzenia matki. Odkładał to do jutra, nie wiele spodziewając się dowiedzieć i obejściem starości, przekonany już prawie, że Tekla Lutyńska nie mogła być jej siostrą. Dopiero kupować zamyślając Wólkę dowiedział się całej prawdy, i choć o losie swej matki nie nie zastęszął, przekonał się wszakże, iż była siostrą starościny. Zwolna więc gotując sobie dowody na to i wybierając się z niemi do Warszawy, namyślał się jeszcze jak począć. Kilka już razy wpadał na przekonanie, że lepiejby może cierpliwie czekać śmierci starosty i jego żony, dopiero wówczas jako spadkobierca o poczynione przez starostę zapisy się upomnieć.

Zwolna więc rachując, jak korzystniej było postąpić, walczył sam z sobą niewiedząc na co się odważyć. Starościny mógł pogniwać, dowodząc jej pokrewieństwa, rozniewiana, mogła mu i rządzić w Żalicach odebrać i zapisy swoje na kogo innego przelać. Z drugiej strony, nie nie tracił na oczekiwaniu, majątkiem rządził sam, powoli się z niego żywił, a ciachaczem mógł za gotówkę kupować przyległe wioski.

Przychodził mu czasem na myśl brat, którego tak dziwnym trafem w drodze spotkał, ale myślał sobie, że biedny rzemieślnik, powędrował gdzieś daleko i nie powróci zapewne, a przynajmniej nie stanie mu na przeszkodzie.

W jednej ze swych myśliwskich wycieczek, Janek spotkał Anusię, i cheiwy młodości, za którą więcej, niż za wdziękiem się upędział, widząc w niej połączoną, i piękność i lata pożądane, począł się za nią uganiać. Ale dzikie dziewczę, nierozumiejące niebezpieczeństwa, tylko instyktowie wstręt mając do napaśnika, nie łatwe było do shwywania. Spotkać je nawet codzień było trudniej, a za spotkaniem gonić prawie niepodobna. Janek słowa na dziewczynie wymódrz nie potrafił, i próżno szukając zręczności, poznania się bliższego, we zwykłych śledził jej ścieżkach. Nikt nad nią lepiej nie znał wszystkich zakątków, zarośli, prześladków, przesmyków i ścieżek w okolicy; od czasu, jak postrzegła, że Janek jej szukał, poczęła chodzić takimi niedostępnymi drożynami, że ona tylko i kozy, wdrapać się tam mogły. Widział ją zdaleka nieraz, a usiłując się zbliżyć, tracił z oczów, jakby się w ziemię zapadła. Niewiedząc dotąd, gdzie mieszkała, bo w różnych kierunkach idącą ją widywał, Janek spotykał się z nią coraz rzadziej, nareszcie traf ostatniego wieczora, odkrył mu chatę Anusi.

Upokorzony w oczach jej i starca, bo zrzucony z konia jednym silnem uderzeniem Marka w którym poznał brata; postanowił zajadłej jeszcze pomścić się na wszystkich. — Nagłe zjawienie się tego którego sędził dalekim, pomieszało go przecież i napędziło myśli dziwnych do głowy, kończył zawsze na tem, że wypadło się pozbyć szewca, który w okolicy ślad o swej matce albo już odkrył, lub łatwo nań mógł wpaść.

Ale jak tego dokazać?

Janek nie był jeszcze do tego stopnia zepsutym, by się występku jawnego i krwawego dopuścić; kradł wprawdzie bez zgrzyoty sumienia, ale od zabójstwa wstrzymywała go nie tyle bojaźń kary Bożej, ile sam jego charakter. Brakło mu tej namietności zarazem, i tej krwi zimnej, która występki spełnia. Myśl przechodziła przez głowę i nie poruszała go wcale; dokończyć jej siły nie miał. Czuł że odwagi by zabrakło. Jego rzeczą był nie niebezpieczny wysiłek na zbrodnię,

ale ostrożne i skryte poniewieranie się w brudach tajemnych szkarad. Wychowanie nie dało mu sumienia, nie uzbroiło go w zasady, a zmiękczając go i wycieńczywszy zawczasu, jedno z żądań razem odjęło. Janek byłby patrzył z zimną krwią na posługujące mu zabójstwo, ale ani podmówić, ani dopełnić go nie byłby się odważył. Jedyna jego namietność: chęć wznieślenia się, pragnienie zbytku i dostatku, już nieco nasyczone nadziejami, które lepiej od skutków wystarczają czasem namietności; — nie podlegały go tak silnie, by się dla nich na utratę tego co już miał, poświęcił.

Klą zjawienie się swego brata w okolicy, ale na próżno szukał środków oddalenia go, rachując na to, że przypadek który go tu sprowadził, odwiedzie go gdzie dalej. Co do starca i Anusi, blizki będąc nabycia Wólki Lutyńskiej od Malinowskich, miał wszelkie prawo sądzić, że się nie wymkną jego zemście. W tym nawet celu przyspieszył nabycie kawałka ziemi znaczącego, które jego dostatków zdradziło nie mogło.

Zaraz nazajutrz po opisanym wypadku, pojechał do Malinowskich, i wyliczywszy zadatek, umówiwszy się o wypłatę o świętym Janie, i objęcie swej nowej posesji, powracając wstąpił do chaty gumienego, aby zobaczyć co się też tam dzieje.

Zastał go samego na progu, wiążącego niewod, co na staroście jedynem było zatrudnieniem jego i zarobkiem.

— Ha! — zawołał do niego z konia — a co? cieszysz się wczorajszem! ale poczekaj będziesz miał za swoje! —

• — Cieszyć się nie ma czem, jak odgrażać się niema za co — odparł stary. Com ja temu winien, żeście po guz przyszli, i guza złapali!

— Guza! nie! nie! nie na guzie się to skończy! — rzekł miotając się na koniu Janek.

— Darujcie mnie staremu — powoli odpowiedział gumieny usiłując uspokoić i ukołysać nieprzyjaciela którego się lękał. Ja tu w tem nic nie winienem. Dziewczyna wnuczka moja, już powróciła do domu. —

— Alboż tu nie mieszka? — spytał szybko Janek. —

— O! nie, czasem tylko przychodzi mi posłużyć, a mieszka o milę — w Mogilkach.

— A! dobrze wiedzieć! podszeptał Janek.

— Ten zaś człowiek, co się z wami tak nieludzko obszedł.

— Co pleciesz stary! przypadek! złość mnie chwyciła, chciałem się rzucić na niego, i zsunąłem się z konia.

— Tak, to prawda — bąknął dziad.

— A ten człowiek zkąd?

— Nie wiem, to był podróżny.

— Dawno tu?

— Wczoraj przyszedł, dziś odszedł podobno do Krakowa. Stary, bezsilność swą ratował jak mógł kłamstwem, drżał biedny.

Janek się nieco rozdobruchał. — Słuchaj-no stary — rzekł, wiesz ty kto ja jestem?

— A toż pan sam wczoraj powiedzieliście, że z Żalic?

— Tak rzadca w Żalicach, a od św. Jana da Bóg, Pan i dziedzić Wólki Lutyńskiej, będziesz więc na moim gruncie i wybieraj sobie, albo że cię z twoją siwą głową ztąd przepędzę na zebraninę, albo jak zechce, to ci i chatę pobuduję i opatrę na resztę życia.

— Któżby to panie lepszego nie wybrał!

— No! mądrej głowie, dość na słowie, a siwy powinien być mądry. Sprowadź swoją wnuczkę do siebie, i po wszystkim.

Stary, który dotąd tylko się o siebie obawiał, teraz zatrzęsł się o Anusię, i ze strachu postanowił kłamać do końca.

— Jakże ją panie mam sprowadzić, i ona ma swoich, to ją nie puszcza. A potem, ta to dziecko.

— Co tobie do tego — masz do wyboru.

— A toć czas — rzekł stary, do św. Jana to się namyślemy.

— I pamiętaj — dodał Janek zawracając konia, żebyś o kiju za jałmużną nie poszedł.

Zaledwie stracił go z oczów gumieny, rzekł w so-

bie — No! no! nie tak to wielkie złe pójść z torbami i modlitwą, niedoczekanie wasze, żebyście mnie zastraszyli. Ciężko będzie swoją chacinę porzucić, ale bodajem się miał włóczyć jeszcze po świecie, i kości gdzie na nieświęconej ziemi położyć — no to pójdę!

I powiedziałwszy to, począł znowu niewód wiązać. Janek tymczasem nie bardzo dowierzając staremu, zasiadł się na cały dzień nieopodal od chaty, szpiegując ażali nie powróci Anusia, a nie doczekawszy się jej i widząc same z pola wracające kozy, przekonany, że go dziad nie zwiódł, pojechał do domu.

Nad wieczorem dopiero, Marek pospieszył do gumienego, który go z wielką przyjął radością.

— A co? — spytał go, Anusia?

— Bądźcie spokojni, przedzie u Jeremjaszowej; wracając przechodziłem мимо, poznała mnie i kazała mi tu siebie wyręczyć, powiedziała mi gdzie co leży; nie troszczcie się o wieczrę i ogień, ja tu dam wszystkiemu rady.

Jakoż zawiął się czeladnik spiesźnie i jął do roboty; wnet wody zaczerpnął, naczynie pomył, stół i ławy pościarał, chróstu nałamał, ogień rozłożył i wiedząc gdzie co było, począł jak umiał przygotowywać wieczrę. Stary mógł swoim zwyczajem usiąść na progu i modlić się, a potem wszedłszy do chaty, opowiedział Markowi ranne odwiedziny Janka. — Czeladnik zamyślił się, ale nie nie odpowiadał. Spytany czy znalazł metrykę ślubną za którą do blizkiej chodził parafji, odpowiedział, że księdza nie zastał, i że kilka dni musi w tej stronie zabawić, bo proboszcz nie rychło powróć. Było to kłamstwem przecie, bo metrykę żadaną, miał już w tłómczku, ale nie chciał starca i dziewczyny na los opuścić, i postanowił zabawić póki by sobie lepszej rady nie dali. Wdzięczyen był staremu za wiadomość o matce i gościnne przyjęcie. Anusia mimowolnie także pociągała go ku sobie. Tłómaczył się sam, że to robił z obowiązku chrześcijańskiego, że winien był pomoc starcowi, ale czuł niemniej, że i dziewczyna go wstrzymywała.

Może byłby to samo dla starego uczynił, ale pewno nie z taką radością, nie z takim uczuciem szczęścia.

Wieczera prosta wprowadzie i niewytworna, bardzo smakowała dziadowi, a Marek też który suchym chlebem i wodą dzień odbył, przysmaków nie potrzebował. Pomodliwszy się poszli spać; a nazajutrz rano wszystko w chatce urządziwszy, żeby staremu jak najlżej było, nie chcąc Marek dać poznać, że bawi tylko dla nich, poszedł niby za swoją sprawą, w istocie jak na przechadzkę ku chacie Jeremjaszowej.

Na chwilę zobaczył tam Anusię, której o dziadzie dał wiedzieć, a potem siadł na wzgórzu pod dębami, i czytając coś z pobożnej książki, poglądał na chatę w której Anusia przędła.

Kilka dni podobnych poprzyjaźniły Marka serdecznie ze starcem i Anną; ona przywykła już do niego jak do brata, on ją pokochał więcej niż siostrę. Gdy już nie było powodu dłuższego bawienia w tej stronie, a odejść trzeba było, bo i majster czekał, i mieszkańcom lepianki i Markowi, zrobiło się tęskno jakby rodzinę rzucił.

Stary zapłakał, Anusia także fartuszkciem lzy ocierała, patrząc na niego tym wzrokiem, co go do głębi poruszał. Marek i szedł i wahał się; musiał do Krakowa, a chciał mu się serdecznie pozostać. Z drugiej strony, nie bardzo był spokojny o los Anny, której Janek, jak widać było ze wszystkiego, z oka nie spuszczał.

Co tu począć?

Jakoż słońce już było wysoko, stary go wstrzymywał, chmury się zbierały, i Marek jeszcze na ten dzień pozostał.

Ten jeden dzień bardzo miał wiele znaczyć w życiu Marka.

Ku południowi gumienny poczuł się bez żadnej przyczyny słabszym niż zwykle, i zamiast wziąć się do niewodu wedle zwyczaju, musiał się w łóżko położyć. Jak to czasem bywa ze starami, przy pierwszym

oznaku choroby, poczuł on zbliżenie się śmierci, i powiedział kładąc się w łóżko: — Już ja z niego nie wstanę!

W zaiskrzonych gorączką oczach, widać było i słabość która z życia ostatkiem walczyła, i niepokój o los Anusi.

Wnuczka także przecuciem jakimś tknięta, klekła u łóża, załamawszy ręce, i gorzko płakać poczęła. Stary milczał i myślał, snąc szukał sposobu zabezpieczenia losu sieroty, która zdawała się pastwą przeznaczoną dla Janka.

Jak tylko legł na ubogiej pościeli, coraz gorzej a gorzej mieć się począł, tak, że ku wieczorowi widoczne było niebezpieczeństwo. Anusia pobiegła do sąsiedniego przysiółka, bo tu innych nie znano lekarzy. Baba pokiwawszy głową, zgotowała ziele i dała je pić staremu, a dziad wypiwszy je, trochę ożywiony, o księdza już tylko prosił. O północy rzekł słabym głosem: — Już mnie nie będzie.

Marek polecał po księdza.

Gdy się to dzieje, Anusia płacze i ręce łamie, baba coś mruczy pod nosem, a stary stęka i wzdycha, tentent konia dał się słyszeć u chatki. Nikt go nie posłyszał prócz starca, który chwycił się o swej sile, i wskazał Anusi alkierz, aby się w nim skryła. W początku nie rozumiała dziewczyna, ale gumienny powiedział jej zebrawszy się na słowo: — Idź do alkierza i nie wychodź, a posłuszne dziecko słysząc już szelest w sionkach, wybiegło do swej izdebki. Baba tylko i dziad, pozostali sami. — Wszedł Janek z dwoma psami, zamaszysto drzwi odmykając, i zobaczywszy starego na łóżku, spytał w progu:

— A co stary, namyśliłeś się?

— Widzicie — odparł słabym głosem gumienny, namyśliłem się umrzeć.

— A! a! — zawołał Janek! doprawdy! a gdzie wazsa wnuczka?

Już stary kłamać na łóżu śmiertelnem nie chciał — odpowiedział więc powolnie.

— Dajcie mnie i jej pokój.

— Onaż tu musi być — rzekł, kiedyście chorzy tylkoście ją przychowali.

Stary milczał, pochmurny wzrok z pod siwych brew wlepił w młodego chłopca, podniósł się na łokciu, zachrzęszczało mu w piersi wyschłej, i głosem silnym jeszcze, bo uczucia pełnym, zawołał:

— Młody jesteś! młody jeszcze! jam stary i nmieram. Posłuchaj nauki konającego, nie czyhaj na zgubę ludzką, bo cię dotknie ręka Boża.

Janek rozśmiał się tylko.

Jak wszyscy niedowiarkowie przesądny przecie, pod uśmiechem skrył trochę strachu.

— Dajcie mi pokój z nauką, ot lepiej byście powierzyli mnie wnuczkę, ja się jej losem zajmę, moja żona weźmie ją do Żalic, do dworu — potem wydam ją za męż. —

— Bóg zapłać, dajcie mi skonać spokojnie, i idźcie sobie.

— Idźcie bo sobie panie — dodała baba. Widzicie, że stary na śmiertelnej pościeli, a wy mu głowę durzycie.

— Precz czarownico! — zakrzyczał Janek. Precz! ja z tobą nic nie mam — i usiadł na ławie wyciągając nogi, a psy poszły wietrząc po kątach, aż do łóża starego.

Po chwili ujrzał drzwi alkierzyka otwarte, i świszcząc posunął się ku nim, gumieny zadrżał, zatrząsł się i ogromniejszym jeszcze głosem zawołał:

— Idźcie ztąd, idźcie ztąd!

— Leżałbyś stary! — rzekł Janek schylając głowę i wciskając się do izdebki. — A! a! — krzyknął, widząc Anusię przytuloną w kącie -- ot i ptaszek. A co, znalazłem cię gołąbko?

Opisać wyraz jaki przybrała twarz dziada, gdy się te słowa słyszeć dały, niepodobna. Oczy zdawały mu się wyskakiwać na wierzch, ręce drgały, usta zadrżały i padł obłąkany na poduszkę, rycząc niewyraźne słowa.

Baba ciągnęła Janka za poję, wołając: Patrzajcie! chcecież go zabić? Idźcie ztąd! idźcie ztąd.

Anna, zaledwie ją doszedł krzyk starca w kątku, w którym stała przytulona, zobaczywszy drzwi wolne, bo Janek wszedł był do alkierzyka, rzuciła się w nie i nim ją mógł pochwycić, przedarła się do pierwszej izby i padła u łóżka dziadowskiego. Jeden z psów Janka pochwycił tylko uciekającą za fartuszek i oddał szmat jego. Niezłękioną tem weale, porwała za rękę starca i poczęła ją całować, usiłując go przyprowadzić do przytomności.

Janek, który dotąd na nic nie zważał, usłyszawszy głos starego chrapliwy i podobny do ryku, przeląkł się i włosy mu na głowie kołem stały.

Powolnym krokiem jakby pijany wysliznął się z alkierza i nie idąc już do Anusi, która schroniła się pod skrzydła śmierci, usiadł o podal na ławie, okiem ją tylko mierząc zaognionem.

W tem dzwonek dał się słyszeć.

Marek z księdzem jechali, i wózek proboszcza stanął u progu lepianki; a Bóg przychodził do ubogiego, by go w drogę wieczności prowadzić. Domyślił się Janek po dzwonku proboszcza; zmieszał, począł bełkotać pytając, czy staremu czego nie potrzeba, mówiąc że zaraz odejdzie, i zabierając się wychodzić w istocie, gdy na progu spotkał się z siwowłosym księdzem i Markiem.

Marek i on, których dziwne podobieństwo twarzy wszystkich zwracało oczy, zmierzyl się wzrokiem nienawiści i gniewu. Czeladnik zaciął usta i wskazując drzwi, z cicha tylko wyrzekł:

— Precz!

Janek się wstrzymał.

— Ty śmiesz! — zawołał stłumionym głosem.

— Precz! — powtórzył Marek.

— Wiesz do kogo to mówisz?

— Do zuchwalca, co konającemu śmierć przyspiesza i z Bogiem się pojednać nie daje, do...

— Miałem iść, zostanę — rzekł Janek.

— Miałeś iść i pójdziesz — powtórzył Marek — lub...

— Lub co?

— Lub cię wypchnę.

— Ty? — Ale już więcej nie powiedział, bo Marek jedną ręką zatulił mu usta, drugą za kark ująwszy, pomimo szamotania wyniósł go prawie za próg do sieni i nie puszczając, wyprowadził aż na zewnętrzne schodki. Tu byłoby przyszło do bitwy, gdyby nie to że Janek czuł się słabszym a w sercu był tchórzem. Unikając więc jej, wyrwał się tylko z rąk brata, i uderzywszy go silnie, dopadł konia i ujechał. — Przez cały czas trwania tej sceny, konający starzec dychał tylko ciężko, słowa niemogąc wymówić; a gdy Marek ukazał się u progu jakby dając znać, że natręta wyprawił, zdawało się, że wielki ciężar spadł z jego serca i rozplakał się.

Proboszcz już był przy nim.

Kazano ustąpić Anusi i babie, a nim się spowiedź poczęła, wzięwszy za rękę starego księdza i poniosłszy ją do ust, gumienny odezwał się głosem osłabionym:

— Mój ojcze, ratujcie mnie i moją duszę, ratujcie sierotę.

— Bóg łaskaw i opatrzny, bądźcie spokojni. Bóg duszę poratuje i o sierocie nie zapomni.

— Widzieliście tego człowieka?

— Zdaje mi się, że to jest rządzca z Żalic.

— Tak, tak, — zły człowiek — nie dał mi umrzeć spokojnie, i w grobie prześladować będzie.

— W grobie pokój, mój stary.

— Alboż ja umrę spokojny, zostawiając sierotę wnuczkę, moją Anulkę, na pastwę złemu człowiekowi?

Ksiądz się zamyślił. — Bóg nie dopuści złemu zwyciężyć! rzekł po chwili.

— Pewnie ojcze?

— Bądź spokojny.

— Lecz któż zaślони sierotę? Kto się nią zaopiekuje?

— Bóg, mój stary, i poczciwi ludzie.

Marek, który słuchał od progu, bo rozmowa nie była tajemną i dość głośno prowadzona, wszedł w tej chwili, pokłonił się księdzu i przerwał:

— Pozwolicie mi starego uspokoić? rzekł ze wzruszeniem.

— Coście mówić chcieli?

— Posłuchajcie ojcze i wy stary. Wy mnie dobrze nie znacie, ja wam tak jak obcy, ale możecie mi zaufać, bo się Bogiem świadczę, że nie kłamię i nie mam złej myśli. Ja biorę na siebie opiekę Anusi.

— Mój chłopcze młody jesteś jeszcze, — rzekł ksiądz.

— I ona młoda — rzekł szwec, — niech stary błogosławi, będzie moją żoną.

Stary radośnie się uśmiechnął i jak do modlitwy złożył ręce. — Błogosławie, rzekł, błogosławie.

Ksiądz wszakże ten pospieszny krok wstrzymał i spytał Marka:

— Ależ ty ubogi, obcy moje dziecko — sam ledwie masz chleba kawałek, cóż poradzisz z żoną?

— Ubogi, to prawda, ale mam zdrowe ręce i wielką ufność w Bogu.

— Mogę powrócić do Warszawy, gdzie taki kawałek chleba mam u mojej przybranej matki i przytulisko uczciwe; będę na swoją rękę majstrem, i żonie biedować nie dam. Zresztą, ojcze mój, ubóstwo nie straszne temu, kto do niego przywykł.

Stary nie dawszy dokończyć Markowi, który miał czapkę w rękę, stojąc na środku izby, przywołał Anusi.

— Słuchaj, rzekł — oto twój mąż i opiekun — wskazał Marka. Jak ja umrę, pójdziesz z nim, a ja wam obojgu błogosławię.

To mówiąc, na klęczących wyciągnął ręce zimne i płakał, a łzy z modlitwą spadły na głowy Anusi i Marka. Anusia sama nie wiedziała co to wszystko znaczyło, ale się nie opierając podała czeladnikowi rękę.

Ksiądz zamyślony smutnie spoglądał na tę scenę.

— Mój ojcze — odezwał się gumienny, dajcie im ślub jak będzie można najrychlej — ja umrę spokojny, a tymczasem wielką byście mnie zrobili łaskę, gdybyście tę sierotę do siebie wzięli na jakiś czas.

— Do siebie nie mogę, rzekł kapłan, ale postaram się dla niej o przytułek bezpieczny, póki ich nie połączę.

— Teraz czas pomyśleć o duszy, wyrzekł stary, przyjmijcie spowiedź moją.

Anna i Marek wyszli na próg lepianki — ona w łzach, on z jakąś dumą, bo czuł się nie sam na świecie, i radośnie przyjmował opiekę nad sierotą. Z pod łez spojrzała kilka razy sierota na swego narzeczonego, jakby go pierwszy raz widziała jeszcze, przypatrywała się swojemu opiekunowi i panu.

Marek z oczyma w niebo wzniesionemi czy się modlił, czy myślał, czy wzywał przyszłości szczęśliwszej, stał milczący. W ostatku zbliżywszy się do Anusi rzekł: Choć tu nie pora o tem mówić, ale nie bójcie się niczego; powiedziałem, nie spytawszy was, że się z wami ożenię dla uspokojenia starego, byłoby to dla mnie wielkie szczęście, ale jeśli mnie nie zechcecie, będę twoim bratem i opiekunem.

Anusia nie mu nie odpowiedziała.

— Wam to pewnie nie łatwo będzie ztąd się oddalić, a tu koniecznie choć na czas potrzeba.

— Dajcie mi pokój, ja nic nie wiem, nic nie rozumiem, tylko że biednego dziada tracę. A! może go Bóg uchwala.

Zamilkli; a po chwile, gdy głos z wnętrza wzywający dał się słyszeć, weszli się modlić do izby i pokłękli w progu. Gumienny przyjmował posiłek duszy na podróż.

Długo potem jeszcze modlili się, aż ksiądz widząc starca usypiającym, zamilkł.

Ten sen był skonaniem.

Nazajutrz Anna i Marek za ciałem gumiennego szli płacząc do kościółka, a w tygodniu kilka proboszcz pobłogosławił nowożeńcom, którym za świadków służyli tylko dziadowie i baby kościelne.

My powrócić musimy do Janka, który wściekły przyszedł do dworu Żalickiego, i na wstępie żonę zastawszy z pisarzem siedzącą w ganku, rozpędził ich ogromnem

łajaniem. Sam nie dochowując żonie wiary, posadzał ją nieustannie, i wstęp ten poprzedził wieczór spędzony na swarze, wzajemnych wymówek i przekleństwach.

Rozeszli się do snu sypiąc szatanami i piorunami, i już każde w swoim kącie układać się mieli, gdy nadbiegający posłaniec z listem przywiózł wiadomość o śmierci pana starosty. Oczy Janka zaiskrzyły się potężnie, uśmiech dziki wybiegł na usta, i stłumionym głosem zawołał: Otóż już jedno!

Teraz pozostawało mu tylko czekać cierpliwie śmierci ciotki starościny.

— Żalice moje! — wołał chodząc po izbie szerokimi krokami — a do Żalic dokupię Wólkę, Wolę i trzy wioski przyległe, bo będę miał za co. I otóż ja pan! pan!

Jakby nigdy nie między niemi nie zaszło, Ewa i Janek, zapomniawszy kłótni całego wieczora, poczęli szeroko rozmawiać, a on już w tym zapale nie umiał się przed nią utaić z tem kim był i co myślał. Rozradowało to niewymownie Ewę, która się nie domyślała wysokich nadziei swego małżonka, i zupełnie ją z nim pojednało. Na tę myśl, że będzie panią, że w parafialnym kościele zajmie pierwszą ławkę, że ją w rękę ksiądz proboszcz i sąsiedzi całować będą musieli, zarumieniła się z radości.

— Będę panem, i taki całą gębą panem, zawołał Janek unosząc się. Żalice, dwie Wólki i trzy jeszcze wioski przykupiwszy, kto tu bogatszy odemnie? — pojedziemy do Warszawy.

— A! tak kotku, do Warszawy — oboje serdecznie, oboje tylko.

— A jakże! kupię sobie order, będę miał urząd i będziemy żyli jak należy panom.

— I przyjedziemy — dodała Ewa, przyjedziemy do Żalic tu poszóstno, hajduczno, żeby się powściekali ze złości ci wszyscy, którzy mnie do pierwszej ławki puścić nie chcieli. Ot i ta stara kwoka Wojska, co mi się nigdy nawet nie ukloni, i Stolnik, który nas znać nie chce, i....

Byłaby długo rachowała, gdyby mąż nie przerwał zwykłym wykrzykiem:

— Hulaj dusza!

— Ej! powściekają się! dodała Ewa.

— I będziemy panowali.

Do północy tak trwało marzenie, aż nareszcie rozeszli się połączeni po długim nieporozumieniu współnością nadziei. Janek wszakże nie jej nie powiedział o bracie, o Anusi i o wszystkich swoich przygodach.

Nie rychło nawet ośmielił się zajrzeć do chatki gumienego, ale nie mogąc wytrzymać jednego wieczora, posunął się z psami od Wólki do parowu, w którym leżała lepianka. Zastał ją pustą, drzwi zaparte i żywej duszy na progu; nie było nawet kogo popytać o starca i wnuczkę. Zsiadłszy z konia, popróbował drzwi otworzyć, ale przekonał się tylko że były zabite. Jedyne mieszkancami strzechy słomianej były siwe wróble, które jej nie opuściły. Oddaliwszy się już od lepianki, spotkał babę, od której się dowiedział, że stary umarł a Anusia niewiedzieć gdzie się podziła.

Żał było Jankowi pięknej dziewczyny, przecież nie ona jedna młoda i ładna była na świecie, i łatwo się pocieszył w kilka dni potem, spotkawszy inną, niedoroślą choć nie tak piękną dziewczynę, a mniej daleko dziką od Anny. Rok cały upłynął jednostajnie, i położenie Janka o tyle się tylko zmieniło, że został po cichu panem wiosek i gruntów przypierających do Żalic, kupionych za pieniądze żony.

Z Warszawy przyszła wiadomość, że starościna żyć nie pędziła jak dawniej wesoło, a tracąc wdzięki i coraz mocniej cierpiąc na reumatyzmy i spazmy, nie przedstawiała przecie używać życia jak mogła. Janek dosyłał jej pieniądze, sam nawet dostał się do Warszawy, widział ją i uderzony nagłym zestarzeniem zalotnicy, rachował iż niedługoby pożyć powinna.

Ale rachuby na śmierci oparte tak są zawodne, a śmierć tak szydersko zabiera rachmistrzów, jakby się na nich mścić chciała, że się w jej sprawy nieproszeni mieszej. Starościna kawęcząc, stękając, otoczona z je-

dnej strony doktorami, z drugiej dawnymi i nowymi przyjaciółmi, żyła i żyła; Janek czekał, wyglądał, a napróżno. Kilka razy już, już zdawała się umierająca, potem znowu powstawała z choroby i wiodła życie po swojemu. Na starość gdy innych rozkoszy używać już było przytupno, stół i jadło wytworne zastąpiły wszystkie. Sama dysponując swoje sławne obiady, na które się łakomey zbiegali, sprowadzała i kucharzy i pasztetników, i piekarzy i cukierników ze wszystkich stron świata. Poczta przywoziła jej pasztety strasburskie, szynki westfalskie, salcesony bolońskie, soje angielsko-indyjskie, trufle z Périgord, cukierki marsylskie i likwory zamorskie. Czasem za winogronami wyprawiano sztafety. Tak żyjąc, nietrudno było naówczas w Warszawie mieć wielu a wielu przyjaciół; miała też ich starościna. Dowcipna zawsze, bogata we wspomnienia, wyrozumiała na sądy ludzkie, pobłażająca słabościom, których doświadczyła sama, potrafiła przyciągnąć jeszcze do siebie i utrzymać. Wprawdzie wiek i sposób życia wielce ją zmieniły, ale na cóż nie ma sposobów? — Marszcząc podciągano, żółta skóra malowała się białą i różową, usta smarowano pomadą, brwi nakreślano starannie pędzelkiem, wrywano dłuższe z brody włosy, nakryto łysinę tupetem, wypychano czego zabrakło, wstawiono zęby, nastrzępiano suknie, i Elżusia uchodziła jeszcze za zwiędłą piękność, której pozostały ślady! Niestety, jednych oczów zagasłych, zaognionych, starych, wprawić nie było można. Przez te okienka wyglądały przeżytych lat dziesiątki.

Śmiesznie było patrzeć na staruszkę jeszcze fertyczną, mającą ruchy i pretensje młodości, uśmiechającą się dziewiczo, potrząsając główką i usiłującą robić *słodkie oczy*; ale w wielkim świecie dowcip i dobry stół czegoż nie każą przebaczyć?

Śmiano się cicho ze starościnej, a pomimo to wszyscy u niej bywali, i towarzystwo zwyczajne nie opuściło jej do końca.

Śmierć szła powoli, dozwalając żeby o niej nieopatrna starościna zapomniiała; szła po cichu, na palcach

i gotowała jej niespodziankę. — Tymczasem cóż to były za objady! jakie wieczery, co za śniadania i przekąski! Kilka razy to kościastą nogę, to suchą swą rękę śmierć kładła w pasztet lub półmisek grzybów; ale dotąd jeszcze cofała je, zostawując sobie smaczny kasek na potem.

Janek rządził w Żalicach i łykał słinkę, obiecując sobie swe służebnictwo nagrodzić późniejszym panowaniem. Wedle jego rachuby, spadek po staroście nie wieść go nie mógł, jedyną trudność spotykał w myśli, że się nim z bratem, którego nienawidził, podzielić będzie musiał. Uważał za niepodobieństwo, żeby Marek nie doszedł swego pochodzenia, i nie obstał przy podziale łakomego dziedzictwa. Nad tem więc dnie i noce schła mu głowa, jakby go w razie takim albo się pozbyć, lub niczem skwitować. Dzielić się z Żalicami nie chciał; oddać co uważał za swoje, rozdzielić się ze swoją wielkością, miał za niepodobieństwo! — Zatrutował sobie życie ciągle w tę przyszłość zaglądając ciekawie, szperając w niej, dochodząc i budując zamki na lodzie. Ewa ze swojej strony, teraz trochę dla męża łagodniejsza, cała była zajęta przyszłym panowaniem, i wielkością swoją i blaskiem, którym dziś ją za nic mające zaćmić chciała sąsiadki.

Nie było to szczęście, choć najrzeczywistsze może szczęście ludzkie w nadziejach spoczywa. Ale są czyste i skalane nadzieje, a chciwości nadzieje stanowią męczarnię, bo są Danaid naczyniem nienasyconem. Janek Żalice i trzy wsie już prawie trzymając w rękach, w miarę tego co mieć mógł, sięgał myślą dalej a dalej, chciał więcej a więcej. — Wszystkie przeszkody, które mu natrętny niepokój podsuwał, łamał, niszczył, ale niemniej walczył z niemi i jątrzył go.

W chwilach innych był znudzony, zużyty, znudzony i nieraż wszystkiemu; żony nie kochał, nie przywiązał się do nikogo, nie nie lubił, nie go nie cieszyło. Otaczający bali się go, nie dowierzali mu, a przyjacielskiej dłoni w życiu nie spotkał.

I rok za rokiem upływał a nie się w położeniu jego

nie zmieniał, tylko Janek rychło i przed czasem starzeć poczynął, a Ewa zupełnie już zbabiała, co mężowi całkiem było obojętnem, gdyż dawno na nią nie patrzył. Interes tylko wiązał tę parę ludzi, więcej ku sobie nienawiści niż życzliwości mających.

Jednego ranku śpieszy goniec z Warszawy; śmierć nareszcie uprzykrzywszy sobie fertanie się starością, i żarty które z nią stroiła, przyjechała w salcesonie bolońskim umyślnie po starą zalotnicę. Po śniadaniu wesółem, na którym głównym daniem były te nieszczęsne salcesony, Elżusia zachorowała, dostała niestrawności, gorączki i — umiała.

Janek wziął pocztę i co tchu polecał do Warszawy. Jedźmy za nim także, znajdziemy tam Marka.

Właśnie w tejże samej kamienicy, którą zajmowała na pierwszym piętrze starościna Myłżyńska, na dole w dwóch ciasnych izdebkach mieścił się majster Marek Porebski z wdową Maciejową i dwojgiem małych dzieci, z których młodsze karmiła słiczna Anna.

Trzech czeladzi, jeden chłopiec stukając młotami, żwawo wywijając igłami, ledwie nastarczyć mogli robotę, która płynęła pod Jelenia. Trzeba bowiem wiedzieć, że szyld majstra Porebskiego, dla odznaczenia od innych, nosił to piękne zwierze odmalowane na wierzchu. Izdebki były czyste, schludne, a choć w nich czułaś ubóstwo, widać było spokój i wesele. Wszystkie twarze uśmiechnięte, wszystkie oczy śmiejące się, na ustach słowa dobroci i pociechy, ręce otwarte, otwarte serca.

W pierwszej izbie, gdzie pracowali czeladnicy, za warsztatem pod oknem sam znajomy nam majster z wypogodzonym czołem, raźnie coś opowiadając, nauczając, pocieszając, dodając serca, zachęcając do pracy, robił z czeladzią. — Tu był i sprzącznik porządniejszy, i komoda jasionowa, i zwierciadełko, i kilka świętych obrazków; w drugiej izdebce Anna kołysała usypiające niemowlę, cicho rozmawiając ze starą Maciejową, która okulary na nos włożywszy, w książce nabożnej czegoś szukała. Starszy chłopak, rumiany i tegi, aby nie obudzić braciszka, nudził się wstrzymując od zabawy. —

Anna była w kwiecie rozwinienia i piękności, a jej oczy nie straciły tego wyrazu czarownego, który miała, gdy ją Marek pierwszy raz zobaczył. Tylko kibić wysmukła zawsze, stała się silniejszą, rozmeźniała, a czoło pogodne dojrzalej niewiasty, poważna a czysta myśl zajęła, i dostojność matki z dziewczęcia zrobiła ją kobietą. Widać było, że życia ubogiego nie zamąciło, bo żaden wyraz boleści w rysach pięknego oblicza nie zastąpił.

Była szczęśliwą, ale nie wiedziała o szczęściu swem, nie marzyła o niem, używała go; nie miała jeszcze zręczności porównać go, by ocenić. Jak ryba w wodzie płynęła swobodna, niewiedząc że nad nią żyją stworzenia w innym żywiole. — Cóż jej brakło? Był chleb powszedni, była praca co życie umaja, były serca przywiązane, były nadzieje w dzieciach i sumienie tak spokojne. Dni szły jeden za drugim jak równe paciorki różańca, przedzielane tylko jaką uciechą, spoczynkiem lub podwojoną radością. Ubóstwo zdawało się im naturalnym stanem człowieka, bo zmyślonych potrzeb nie mieli. Nawet los od niejakiego czasu oszczędził im przykrych wrażeń, bo żadna nieprzyjaźń i prześladowanie ich nie dotknęły. Nieprzyjaźni nie mieli, a współzawodników pogodnym czołem i szczerą przyjaźnią rozbrajał Marek. Rachując wedle swego usposobienia, więcej na Boga niż na ludzi, Marek się nigdy nie dobijał o roboty, nie odrywał jej drugim, nie odmawiał czeladzi, nie nabijał o zakazy; a szło mu dobrze, i nie bogacząc się, nie potrzebował też chleba przynajmniej.

Marek był w sile lat, w pełni życia, i spojrzeć na niego miło było, tak z całego tego człowieka tchnęło poczciwe i niczem niezamącone szczęście. Nie miał on tej bladoci, którą często nadaje siedzenie ludziom do niego niestworzonym, ani zapalonego lica, które goreje od sztucznego ognia wlanego we wnętrznosci trunkiem; ale cerę zdrowia i dojrzalszych owoców. Oczy jasne, czoło niezmarszczone, uśmiech dobroci na ustach. Poczciwy i roztropny, zjednał sobie szacunek powszechny i serca wszystkich; miał on ten rozum, który u nas chłopskim nazywają, a który jest jedynym prawdziwym i do-

brym. Wszelka nauka dla niego ograniczała się nauką wiary, a czynności życia stosowały do niej ściśle.

Ztąd taki spokój i to w przyszłość zaufanie niezachwiane, z jakim poglądał na straszne dla drugih jutro.

Wcześniej Maciejowa wpoila i w Anusie te zasady, któremi wychowała swojego Marka; dom ten oddychał pobożnością, a na niej krzewiły się wesele duszy i spokój chrześciański.

Majster i majstrowa i cała ich czeladka nie mieli postaci smutnych tych pobożnisiów chytrych, co cnotę spełniając, religię wyznają i pilnują ściśle jej przepisów, aby się z tem pochlubić, a widzieć z nich, jak im kosztuje poczciwość. Tu przeciwnie znać było, że tak jak byli ci ludzie, byli szczęśliwi — a nie więcej nie pragnęli i nie czuli żadnej ofiary.

Wszystkiem co mieli dzielili się z ubogim, jakby w każdym widzieli Chrystusa; starą Maciejową, zubożałą po śmierci męża, przytulili z radością, otaczali poszanowaniem jak matkę. — Nieraz ostatni grosz oboje dawali w cichości na dobry uczynek; a gdy potem chleba za co nie było kupić, Marek wesół i dumnie szedł prosić piekarza o kredyt, pewien że mu praca powróci ubytek, który uważał za obowiązek. Często też samę pracę swoją, która dla niego była całą majątnością, ofiarował majster, biegnąc na pomoc, zwaśnionych do zgody, utraconych do pociechy wiodąc, zepsutych usiłując nawrócić.

W obojętności z czeladzią był starszym bratem tylko, i kochali też go jak brata a szanowali jak ojca. Opeć się nie mógł tym, co u niego terminować chcieli, bo i rodzice chłopców z pocałowaniem ręki w takim domu umieszczali.

Jak świt wstawano do roboty, zapalały się świece, zawieszały banie, rozpalala ogień Anna, i nim się mleko uprzyżyło, majster wesół poczynął z czeladzią:

Zaczynajcie wargi moje....

Wśród stuku młotków odśpiewywano tak pobożnie modlitwy; a gdy Anna wezwala i majstra i czeladzi

do jednego stołu na śniadanie, gdy potem nagadawszy się wesoło siadali do nowej roboty, podsluchawszy u drzwi, pozazdrościłbyś im swobody, serdecznego uweselenia i dobrej myśli, z jaką żwawo pracowali.

Majster czasem opowiadał to swoje, to cudze przygody, ale umiał każdą ukazać w świetle, jakie jego duszę objaśniało, aby poszła na korzyść słuchaczy.

Często, jak zwykle u ludu, trafił się czeladnik, co na panów, na bogaczy i wyższych narzekał, wyśmiewał ich i nienawistne ku nim budził uczucia; naówczas Marek, który poczeiwej Maciejowej pamiętał nauki, odpowiadał im:

— Zazdrościć bogatszym nie ma czego; bogactwo się błyszczy, pokrywa człowieka, ale ani go nasycy, ani leczy. Cóż oni winni że bogaci? za co mieć do nich dla tego nienawiść? każdy z was, gdyby był bogatym, nie odrzuciłby mienia i wyższości. Nienawidzić nikogo się nie godzi, nawet tych, coby nam źle czynili, a my z nich żyjemy. Kiedy nami gardzą śmiejmy się z nich tylko, byle nami Chrystus nie gardził. Poczeiwych w każdym stanie szanujemy, występkiem wszędzie gardzimy, a o te cudne złoto i świecidełka niepożywne nie starajmy się kosztem poczeiwości i pokoju.

W dniach zaburzeń ulicznych Marek potrafił podobnemi wyrazy wstrzymać rozlew krwi ohydny, i ukołysać tłum podeszczwany w widokach osobistych ludzi co życie braci za nie rachują.

Nieraz swoje życie wystawiał na niebezpieczeństwo, dopełniając obowiązku; a gdy potrafił słowami pokoju, przebaczenia i zgody nawrócić obłąkanych, modlił się i Bogu dziękował. Bo u niego wszystko poczynało się i kończyło nabożeństwem. Już naówczas i między miejskim ludem poczynała się krzewić bezbożność, podsycająca namietności, lecz wstępu jej do swojego domu nie dał majster. Najlepszego czeladnika odprawił za kilka wyrazów lekkomyślnych.

— Mój bracie — rzekł, trzymać cię nie mogę, mam młodszą czeladź, mam dzieci, żonę, a tyś zepsuty i drugich psuć możesz. Jeśli mi przyrzeczesz, że się bę-

dziesz starał poprawić, zostań, chętnie się zajmę tobą; ale jeśli ci smakuje twój stan, idźże sobie z Bogiem odemnie i nie mać mi pokoju. Daj ci Boże nawrócenie.

Takim był Marek, i kiedy mu nieraz wesoła Anna, niosąc dziecię na rękę, szarym wieczorem, jak zwykle matki, poczęła o losie przyszłym dzieci prawić, spodziewając się dla nich dostatków, bogactwa, on jej odpowiadał:

— Albo to my nie bogaci, moja rybko? Na cóż moim dzieciom dostatki większe, żeby założywszy ręce siedziały i ziewały? Nie daj Boże! Ludzie się psują bogactwem; niech pracują jak ja, i daj tylko Boże, żeby każdy z moich chłopców taką sobie wymodlił Anusię, i taki los jak mój.

Trafiło się, że go w daleki kraj ciągniono nadziejami wielkich zysków, ale on nie chciał dla nich opuścić rodzinnego miasta.

— Albo to ja będę jadł talary czy co? odpowiadał, chleb mam i dosyć. Dzieci wychować będzie za co, a jak im dam w ręce rzemiosło, umrę spokojny.

Gdy szewc śpiewa na dole wesoło, staroscina umiera na pierwszym pięttrze, i u drzwi Porebskiego przybijają czarny całun, oznaczający po miastach, że w domu jest nieboszczyk, przy którym pomodlić się powinien przechodzień. Cała kamienica ścisłu pełna, bo pani była bogata; odwiedzających ciało mnóstwo, gwar sług, śpiew księży, stukot powozów i krzyki gawiedzi rozlegają się w podwórzu.

Szewc z całą swoją rodziną rankiem poszedł nawiedzić ciało, pomodlił się i wrócił do roboty. Śmierć zawsze osmutnia człowieka, choćby była najobojętniejszą, i ptaszęta dla tego są wesołe, że ich bracia, gdy przyjdzie godzina śmierci, lecą gdzieś na nieznane smętarze złożyć kości, by niemi nie smucić swoich. — Szewc tego dnia z czeladką nie gwarzył, i rzadko tylko słowa z ust wszystkich się wyrывały. Czeladź cięcho rozповідаła urywanym głosem o zgonie nagłym staroscinej.

Nim trzeci dzień upłynął, pocztarska trąbka rozle-

gła się w podwórzu i z kolasy wysiadł Janek. Marek stał we drzwiach kamienicy właśnie, i bracia spotkali się oko w oko. Pan rzucił wzrok złośliwy na szewca i rzekł w duszy: Jest! a niepokój zatruł mu zaraz pierwszą godzinę jego szczęścia, na które czekał tak długo.

Już się pan Jan Porębski nie tail, że był siostrzeńcem starościny i jej spadkobiercą; uboczni krewni starosty, którzy ostrzyli zęby na spadek, cofnęli się przerażeni, gdy im pełnomocny pana Jana oznajmił, że cały majątek starosty zapisany był żonie, a z głowy siostry dziedziczył po niej pan Jan Porębski.

— To się nie obejdzie bez prawa! zawołali.

— Pójdziem do prawa!

— Pojdziem do prawa!

— Zapisy były fałszywe! wołali jedni. — Spadkobierca wyszedł z pod ziemi! mówili drudzy. — Mieliśmy pójść z próżnymi rękami, przerywali ostatni? to być nie może! lepiej do ostatka się stracić, niż dać się zagrabic. — Jan więc miał do czynienia zaraz na wstępie z całym tłumem oblegającym trumnę. Ale tego się nie lękał; jemu straszniejszym daleko był brat, którego jak przypomnienie, jak groźbę w drzwiach kamienicy zobaczył. — Tymczasem Marek spiewając szyl bóty i wyciągał skóry.

Pogrzeb starościny odbył się z wielką wspaniałością i przepychem. Jan Porębski wszystkiem się zajmował, a że przypomniano sobie, iż był niegdy towarzyszem pieska bonońskiego u starościny, słuchy chodziły, że ten wychowanec bliżej zmarłej dotykał niż mówiono. Spadkobiercy zażądali dowodów i otrzymali je. Niepodobna było utaić że miał brata, domagano się o niego, ale pan Jan zeznał, że nie wie co się z nim stało. Ogłoszono więc w pismach publicznych, aby do spadku po Elżbiecie z Lutyńskich Myłżyńskiej jawił się gdziekolwiek by się znajdował syn siostry jej, Tekli z Lutyńskich Porębskiej, imieniem Marek.

Szewe tymczasem nie wiedział nic, co się koło niego dzieje, i ani się domyślał, że kobieta, u której katafalku się modlił, była jego ciotką. Janek mający cały

majątek w rękę, wyjechał zabrawszy kosztowności i remanenta do Żalic, dla ułożenia interesów. Nadto długo był rządcą, żeby się nie miał namyslać nad podobnego zastępcy wyborem.

Gdy się to dzieje, a pani Ewa stroi się do kościoła, zabierając w pierwszej zasiąść ławie; Marek szyje bóty i śpiewa godzinki. Jednego poranku, otwiera drzwi jego izby figura niepoczesna, długa, sucha, na lasce opierając się i pyta:

— Tu majster Porębski?

— Na usługi, ja jestem — odparł Marek wstając ze stolka, i zdejmując czapeczkę zmierzył okiem przybysza.

Był to stary, szpakowaty już mężczyzna, słusznego wzrostu, w długiej kapocie makowej, podpasany jedwabnym słuckim pasem, z wygoloną czupryną, laską o rzemyku i maleńką szabelką jakby tylko dla formy na skórzanych rapciach przyczepioną. Twarz jego uśmiechająca się słodko, chytra, miała dwoje siwych oczów, które szparko i bystro na wszystkie strony się rzucały. Wiek trochę starca pochylił, ale mu widać żywości nie odjął: spojrzął na majstra, uklonił się bardzo grzecznie, zatarł ręce i drepząc prosił, żeby mu pozwolił spocząć. Marek posadził go na ławie, sam usiadł przeciw niemu, i wpatrując się w tę dziwną twarz napiętowaną chytrością, nie uważał że z pod brwi stary także usiłował zbadać tego, z którym miał począć rozmowę. Nareszcie po chwili odchrząknął przybyły, i tak począł:

— Mam tu do Waści panie majster, maleńki interesik.

— Co każecie?

— To jest mała rzecz — mała rzecz. Nazywasz się Waś?

— Marek Porębski, jak na szyldzie stoi.

— Aha! Marek! Z kądże rodem?

— Moja matka była z krakowskiego, a ja od dzieciństwa w Warszawie.

— A można się popytać, bo to widzicie i ja nazywam się Porebski, to mnie wasz szyld uderzył (stary kłamał) — Któż z domu była matka?

— Szlachecianka Tekla Lutyńska, bo i mój ojciec był szlachcic.

Stary połknął slinkę, zamyslił się, pokiwał głową i wpadłszy na trop, dumiał co tu dalej począć.

My teraz powiedzmy, kto był ten stary ciekawy, z podgoloną czupryną.

Dziś już podobnych ludzi nie znajdziesz, zastąpili ich wprawdzie, nie mniej skuteczni nowego poзору i nowej metody prawnicy; ale stary — jur nasz zniknął. Nie nazywał się on Porebski, jak mówił: z potrzeby tylko przyznał się do tego nazwiska; imię mu było Ambroży Murdelio Śliwicki, a tytułował się Skarbnikiem, ale było to skarbnikowstwo domowej fabryki, chociaż je za dobre przyjmowano. P. Ambroży od młodych lat żył w palestrze, jak w swoim żywiole, i z namietnością prawdziwą zajmował się procesami. Wprawa dała mu biegłość w kruczkach niesłychaną, rzut oka trafny i renomę zawołanego jurysty, który tam gdzie już inni rady dać nie mogli i sposobu nie wiedzieli, znalazł jeśli nie pewną wygraną, to nieochybne przeciagnienie procesu na wiekuiste czasy. — Skarbnik miał nie tylko kawałek chleba ze swej juryssterji, ale namietność do swego powołania; tak, że gdy mu zabrakło roboty, podjąć się jej był gotów za Bóg zapłać, byleby mu pozwolono poszperać w papierach. Rodził też procesa z zadziwiającą łatwością, i nieraz ze starych papierów odgrzebywał takie, których nikt już nie tylko się spodziewać, ale przewidzieć nie mógł. Łatwa sprawa, jasna, czysta nie bawiła go wcale, i takich się nie podejmował; ale trzeba go widzieć było, gdy schylony nad zbutwiałą papierów pliką, szukał w niej śladów do prawa! oczy mu się iskrzyły, ręce drżały i usta uśmiechały łakomie. Z jakim też zapałem opowiadał szczególne *casusa*, jakie mu się w życiu trafiły!

Użyty do konferencji w sprawie, o spadek po Staroście Mylżyńskim, przez kollateralnych, napróżno mordował się, chcąc tu jakie zastosować prawo, jaki brak dokumentów zadać, lub wątpliwość ich podsunąć. Nie nie mogąc poradzić, zgryzł się stary: gdy kollateralni widząc, że nie dadzą rady P. Janowi Porebskiemu, już tylko przez złość ku niemu, jeśli dowodzić, że niema prawa do spadku sam, dopóki by nie okazał, co się stało z jego bratem, powołanym równie do dziedziczenia po Staroście. Był to wybieg tylko, spodziewali się zyskać na czasie, a domyślając się, że znikły brat Jana, nie musi być w położeniu bardzo szczęśliwym, wnosili, że się z nim za łada co ułożą. Poczęto więc publikować wzywając Marka Porebskiego, aby się stawił; ale szewc o niczem nie wiedział. Pan Skarbnik Śliwicki pełną mając głowę procesu, którego nie mógł poprowadzić jak chciał, a całą nadzieję w Marku, idąc ulicą wyczytał na szyldzie nazwisko majstra, tknięty tem, wszedł wybadać i nadszpiekowanie znalazł, że trafił szczęśliwie.

Poskramiając więc swoją radość, jął dalej dopytywać.

— Macież wy jakie dowody rodowitości? i jak się to stać mogło, żeby szlachcic wziął się do kopyta?

— Albo to co ma do szlachectwa? odparł szewc śmiejąc się — teraz ci już przecie nie czas gardzić rzemieślnikiem, co w pocie czoła na chleb zarabia. Wszelka praca uczciwa, a występki tylko kala szlachectwo.

— O! ba! jaki Waśc sensat! rzekł adwokat kręcąc rzemyk u laski — ale to nie dorzeczy. Masz że, Waśc dowody swojej rodowitości?

— A jakże! odparł Marek — ale po co to wszystko mój panie? Wam z tego nic nie przybędzie, nie ubędzie, a mnie czas drogi.

— Ej! chodź no Waśc do alkierza, coś ja Waści powiem, szepnął adwokat, i pierwszy wysliznął się do izdebki, w której Anna z półczoszką siedziała u kolebki dziecka.

Piękna majstrowa ukłoniwszy mu się, wskazała

krzesiło, prawnik obejrzał i skinął głową jej Maciejowej, która ledwie oczy w okulary strojne z książki podniosła, i zbliżając się do Marka rzekł po cichu:

— Nie będę z waszmością mydlił — *clara pacta* ot tak się rzecz ma. Na Waści spadło dziedzictwo znaczne.

— Na mnie! zawołał szewc z podziwieniem, więcej niż radością.

— No — no, niech się wam tylko zbytnie głowa nie zawraca — zaraz wszystko rozpowiem. I usiadł, a potoczywszy wzrokiem do koła, tak kończył:

— Zmarła niedawno, podobno nawet w teście kamienicy, wdowa po JW. Staroście M. Janie Krzysztografie Myłżyńskim, z domu Elżbieta Lutyńska, była *ut acta probant*, siostrą rodzoną Tekli Lutyńskiej za Porębskim będącej, i z nim dwóch synów bliźniąt mającej. Synowie ci Jan i Marek imieniem, jesteście wy moiści szewcze i drugi Porębski, dziś *detentor* Żalic i całego dziedzictwa *abusive et contra legem*. — Połowa dziedzictwa, jeżeli się ona wam należeć okaże (*res sub judice est*), należy wam panie Marku.

— Więc mam brata! brata i ten brat żyje, i ja go nie znam! gdzie jest mój brat — gdzie brat mój? zawołał Marek, na Boga mówcie!

— Ale tu nie o brata chodzi, rzekł gorsząc się prawnik, *res gravior*, sukcesja.

— Co mi tam sukcesja! Bóg mi daje brata, a jabym się miał cieszyć pieniędzmi.

— *Stupidus!* rzekł do siebie po cichu jurysta — *stupidissimus!* — Brat ten Waści chce ograbić, chce odrzeć, chce w łyżce wody utopić.

— Brat mnie! jakże to być może, my się nie znamy! ale gdzie on jest? tu w Warszawie?

— Nie *pro tunc* w Żalicach bawi, pod Krakowem.

— W Żalicach!

— Gdzie *olim* był rządcą z ręki Starościej, która *ut supponitur*, wiedziała o pokrewieństwie, nie przyznając się do niego, *ex ambitione*, i z wielkiego animuszu.

Marek ruszył ramionami.

— Był rządcą —! o to on! zawołał, to on!

Markowi ręce opadły. — Znam go, rzekł — i toś ty był mój brat?

— Ale słuchajże mnie, dodał prawnik zniecierpliwiony — to nie koniec.

— Słucham, rzekł szewc roztargniony.

— Sprawa się toczy o spadek, między urodzonym Janem Porębskim, a krewnemi najbliższymi Jana Krzysztografie *ex linnea collateralis*. Proces jest na tej stopie, że jak jedni, tak drudzy wygrać mogą.

Anna i Maciejowa powstawszy, jedna od roboty, druga od modlitwy, ciekawie i zadziwione przysłuchiwały się mowie jurysty.

— Jabym życzył Waści, korzystając z uporu brata, kończył P. Skarbnik, który układać się nie chce, i do sądów pociąga, samemu o swą połowę przystąpić *sine mora* do przyjacielskiego porozumienia. *Eventus* sądów *dubius*; kollateralni kolligaci, Waszmość sami sobą tylko, lepiej się kombinować.

— Ale daj mi pan pokój, odparł Marek — naprzód chcę widzieć i poznać brata, o majątek mi nie chodzi.

— Jakto o majątek nie chodzi? do najwyższego stopnia zadziwiony, spytał adwokat: o majątek nie chodzi! a o cóż chodzi?

— Z łaski Bożej i z mojej pracy mam chleba kawałek, z mojego stanu jestem rad, a co Bóg da więcej, to dali dobrze, nieda — drugie dobrze — obejdzimy się.

— *Stupidissimus!* powtórzył jurysta, *mente captus* — ale to wszystko dobrze, dodał w sobie, zrzecze się dziedzictwa byle za co.

— No, to jak Waści o majątek nie chodzi — to go odstap za cokolwiek i rezygnuj kollateralnym, w rękę jeszcze cię pocałują, dodał. A kto wie, może i dobrze zrobisz, to proces, to kłopot, a *eventus*, *sicut dixi*, *dubius*.

— Po łacinie nie rozumiem, odparł Marek, ale tymczasem ja bez brata nie nie pocznę, a i namyślić się potrzeba.

— Bez brata Waść nie poczniesz! a toż brat cię chce zgubić.

— Ale dajże pan pokój! to być nie może!

— No! zobaczysz. — Ale jeszcze słowo — nie myślicie sami przez się kombinować się, piękny by wam grosz przyjsć mógł!

— Sam bez brata nie pocznę — rzekł stanowczo patrząc na Annę Marek.

— No, jak tak, to róbcieź sobie co chcecie — ale zawsze takż winniście mi cokolwiek wdzięczności za wiadomość, któraby do was jak uważam nie łatwo inaczej doszła.

— Istotnie — zawołał szewc, napelniliście moje serce radością, uwiadamiając mnie, że mam brata!

— I majątek *tandem*.

Marek głową niedbale kiwnął, Anna się uśmiechnęła łagodnie i biorąc go na stronę szepnęła. — Trzeba tego zwiastuna lepszej doli dla naszych dzieci, przyjać czemś, poslijcie po przekąskę i wina flasze.

Marek zaprzął się z żoną, zastawieniem stolika w alkierzu, a jurysta chodził zamyślony; przyjęto go jak najuprzejmiej, i czem tylko było można, aż się nareszcie, napróżno tentując majstra, i dając mu do namysłu dwa dni, oddalił.

Po wyjściu jego szewc nie usiadł już do roboty; poszedł do żony i starej Maciejowej, gdyż wiele z sobą do mówienia mieli, kobiety cieszyły się i marzyły już, majster surowiej na rzeczy patrząc więcej się kłopotał niż radował.

— Będziemy więc bogaci: zawołała Anna, jak z nieba spadł nam majątek!

— Nie ciescie się! rzekł Marek — majątek nie jest tak wielkiem szczęściem, jak się wydaje, zwłaszcza dla ludzi co do niego nie zwykli. Inni toby się już bez niego obejść nie potrafili — ale my!

— Zmiłuj się, a dzieci! zawołała Anna.

— Alboż nie mamy ich za co wychować, i co im zostawić? Najpewniejszy to majątek, co na końcu palców; a jak co sam zarobię, tu u mnie najśłodszy

grosz. A co ta fortuna niewiedzieć jak zebrana, niewiedzieć zkąd przybyła, niewiedzieć za co — więcej mnie straszy niż cieszy.

— Ty bo dziwny jesteś człowiek! odparła Anna, gotoweś się jej wyrzec.

— Ba! gdybym był sam! pewnie bym to uczynił. — Ale zresztą, niech no to przyjdzie, zobaczymy! odrzucać nie myślę, jeno to mnie już kłopotce, że nie wiem, co z tem będę robił!

Maciejowa pocałowała go w głowę.

— Dziecko moje! rzekła, jak ma iść w złe ręce — lepiej że się tobie dostanie. Znajdziesz co robić z groszem, tylu jest ubogich.

— A! prawda! — przerwał Marek, całując ją w rękę, o tem nie pomyślałem. Ot widzicie, jeszcze się nie dotknął pieniędzy, a już i gorszy i głupszy.

Rozśmiała się Anna, i wieczór przeszedł na wesołej rozmowie, czoło tylko Marka zasępiło się, w nocy spać nie mógł, nazajutrz chodził po izbie, bo usiedzieć nie potrafił, i myślał a myślał. Ku wieczorowi dopiero splunął, pomodlił się i chwytając kopyto rzekł:

— Ot lepiej po swojemu żyć będę — niech tam lichy bierze bogactwo — bo i spać i jeść, i spokojnie chwili użyć nie daje.

W alkierzu Anna z Maciejową, marzyły i prześcigały się w wymyślaniu losu, dla chłopaków, którzy niewiedząc, o co chodziło, bawili się wesoło jak przedtem.

Tymczasem pan Jan Porebski, leciał na rozstawionych koniach do Warszawy, szukać brata, pewien będąc, że z nim się jak zechce ułoży; a bojąc się razem, by go nie odszukali przeciwnicy i w układy z nim nie weszli, wziął z sobą parę tysięcy dukatów, postanowiwszy okazać się tu, czem nigdy nie był, czułym, wspaniałomyślnym i serdecznym.

W kilka dni po odwiedzinach Skarbnika, które się bez skutku powtórzyły, Janek wysiadał w kamienicy niegdy zajmowanej przez Starościne, i z szumem i łoskotem wpadł do izby pana majstra, zajętego już znowu swoim rzemiosłem.

Twarz jego zmęczona, blada, przybrała wyraz serdeczności potrzebnej; na progu spojrział i łatwo rozpoznał Marka, rzucił się w jego objęcia.

— Więc mam brata! zawołał teatralnie — o dniu szczęśliwy!

Marek zapomniawszy całej przeszłości i nie pytając o nic, ze łzami przycisnął go do piersi. — Anno! zawołał, matko! chodźcie! chodźcie, to mój brat! to brat mój!

Kobiety wybiegły z alkierza, a Jan, który do wypicia tego kielicha był przygotowany, choć poznał Annę i zmieszał się, choć się wzdragał uściśnąć starą Maciejową, dopełnił wszystkiego jak należało, aby dać o sobie jak najlepsze wyobrażenie, i byłby może wycałował czeladników, gdyby się to na co przydać miało.

— Błogosławie ten proces, zawołał nareszcie odetchnawszy po uściskach i oddając synka zarumienionej Annie — nie dla pieniędzy marnych, bo tych mam dość, ale że mi daje brata! pamiętasz kochany bracie, dodał — ileśmy razy spotkali się w życiu, niewiedząc o sobie.

— Pod Warszawą pierwszy raz, ja wam nawet mówiłem imię naszej matki.

— Tak, ale ja naówczas byłem w zupełnej mego pochodzenia nieświadomości.

O drugim i późniejszym spotkaniu, mowy nie było. Marek chciał o niej zapomnieć, boby musiał nienawidzieć tego, którego kochać pragnął. Jan się wstydził. — Ale wreszcie trzeba się było wytłumaczyć i z tego, a Jan śmiejąc się, złożył na wiek namiętności, uczynki, którymi jak mówił, brzydził się teraz.

Oba bracia opowiedzieli sobie życie swoje, Marek z zupełną szczerością, Janek fałszywie i nieprzyznając się ani do źródła swego majątku, ani do jego wielkości.

Cały zdawał się zajęty bratem i zapewnieniem mu, jak nazywał losu; ofiarował gotowość do posług, poświęcenie zupełne, przyjaźń wieczną i trud i t. d.

Przez półtora dnia trwały te wynurzenia się, a biedny szewc brał wszystko za prawdę i łatwo dał z so-

bą uczynić bratu, co mu się podobało. Brat ten tak był serdeczny, tak przywiązany, tak wylany, dla nich! Powtarzał ciągle: — niedbam o ten spadek, odstepuję ci go, bierz, rób co chcesz.

— Ale cóż ja z nim pocznę, i jak sobie dam radę, rzekł Marek — ja nie wiem ani sposobu odzyskać go, ani mam czas na to, pierwszy z brzegu prawnik mnie podejdzie, stracę co mam z pracy mojej, a kto wie, co zrobię.

— To prawda! mówił Janek, ale cóż poradzić? znając mnie tak mało, mógłbyś posądzić o chciwość, gdybym ci co innego zaproponował.

— Rób co chcesz.

— Rób co chcesz.

— Zajmij się ty.

— Ty się zajmij.

Po długich zrzekaniach się z jednej strony szczyrych, z drugiej obłudnych, stało na tem, że Janek zobaczywszy jak łatwo brata zaspokoi, z dwóch tysięcy dukatów, dał mu tylko tysiąc, i otrzymał zupełne od niego zrzeczenie się spadku. Marek tak był pewien, że brat największą mu robi łaskę, iż on i żona i dzieci, ucałowali ręce dobroczyńcy odbierając tę sumkę, nie będąc nawet dziesiątą częścią tego, co im należało. Janek zapewniwszy sobie urzędowe ustępstwo spadków, pożegnał Marka trochę oziębłej, siadł spiesźnie do powozu, pod pozorem tęsknoty i niepokoju za żoną, i z Warszawy wyjechał.

Obejście jego z Markiem, tak było dobrze odegrana komedją, że majster i jego rodzina, przekonani byli o najczulszem przywiązaniu, o największem poświęceniu Janka dla siebie.

Trwało to jednak niedługo; nazajutrz po wyjeździe brata, czyhający tylko P. Skarbnik Śliwicki, wpadł do izby z nowymi namowami na kombinację.

Szewc powitał go wesolą twarzą.

— E! panie Skarbniku, już wszystko skończone, pozbyłem się kłopotu i zdałem całą biedę na brata.

— Jakto? daliście mu pełną moc? he.

— Nie — rzekłem się wszystkiego na niego.

— Jest! patrzcie! załamując ręce, rzekł P. Sliwicki, tandem, jeśli wolno zapytać, a cóż Waści dał?

— Biedny brat, może ze stratą, ale mi tysiąc dukatów wyliczył.

— Rocznie? spytał pan Sliwicki.

— Jakto rocznie — raz i koniec.

Skarbnik śmiejąc się szydersko rzucił się na kanapę. — Cha! cha! zawołał, po bratersku Waści ociął, a toż ja byłbym kończył z podziękowaniem za pięć, za sześć tysięcy dukatów.

Marek osłupiał, ale niepodobno mu było uwierzyć w taką obłudę, w taką brata podłość, serce mu się wzdymało i wypędził niegrzecznie trochę jurystę.

Ale, podejrzenia go obiegły, ale niespokój nim owładnął. Żona, która trochę jakiejs nieufności na dnie serca zachowała, poczyniała mu wymawiać zbytek wiary, wyrzucając ją i sobie. Marek doznał pierwszy raz w życiu uczuć przykrych, któremi jak żółcią serce nabiega przy sprawach pieniężnych. Dawny spokój i swoboda uciekły.

Skarb też swój, owe złoto, którem zbył go brat, ciążyło mu, bał się o nie, nie wiedział co z niem zrobić, i przetrwawszy dni kilkanaście w niepokoju o złodzieja, o przypadek; w namysłach, które mu spać nie dawały, w próżnowaniu, które go odrywało od pracy i kierunku warstatem, jednego ranku znacznie zmieniony, dość smutny i blady, wszedł do alkierza, w którym sama jedna siedziała Anna, równie teraz posępna i zamyślona jak on.

Pocałował ją w czoło i siadłszy przy niej na łóżku — serce moje — szepnął jej — ja i ty smutni coś jesteśmy, od czasu tej nieszczęsnej sukcesji, pieniądze nasze nas dławią, chciwość powoli zatruwa spokojność. Gdzie nasze dawne szczęście Anusia?

— Annie łezka zakręciła się w oczach — mój drogi, rzekła, i ja już od myśli, przemyśłów i kłopotów dostałam gorączki. Radźmy co zrobić?

— Mnie się zdaje, rzekł szewc, pozbyć się jak naj-

rychlej pieniędzy uczciwie i pożytecznie, a samym zapomniawszy, co nas spotkało, żyć po staremu i swojego patrzeć.

— I znów kochać się i nie troskać o jutro, dodała Anna ści-kając męża. Od czasu jak to złoto w kufrze, każde spojrzenie czeladnika strachem mnie napęnia; podejrzywam domowników, boję się złodzieja.

— I ja tak samo, i ja moje serce.

— A więc duszo droga — róbmy co chcesz, aby odzyskać nasze dawne życie. Po co nam ten kłopot?

Majster wziął na siebie kapotę i wyszedł na miasto, poradzić się ludzi. Znalazł starszych mieszczan na Ratuszu, a ci uśmiawszy się z niego do woli, radzili mu bardzo różnie.

Ławnicy chcieli, żeby zrobił ofiarę na Ratusz; inni, żeby oddał na szpital, którym zawiadywali; złotnik życzył żeby kupił sreber; ksiądz przechodząc mimo, radził zapisać na klasztor i tym podobnie, zupełnie jak w Molierze. Nareszcie stary jeden przerwał:

— Wiesz Waś co, tak ci to w pierwszych dniach zdaje się, że pieniądze ciężą, ale jak się ich pozbędziesz, będzie ci ich żal znowu. Z niemi to tak zawsze: póki są, nie wiedzieć co robić, pozbywszy się, utrapienie nowe, że nie ma. Ot posłuchaj rady mojej, kup sobie dom: co ci przyjdzie z najmu mieszkań, nie za cięży; a jak tam jakiemu ubogiemu dasz darmo przytułek, więcej uczynisz, niżbyś zapisał na szpital. Na starość będziesz miał przytulisko i chleba kawałek.

Posłuchał Marek, i wkrótce przeniósł się do bardzo porządnej kamieniczki, którą kupił na jednej z przedniejszych ulic miasta. Sam przywykły, zajął mieszkanie na dole, pierwsze i drugie piętro najmował; na tyle zaś i strychu mieścił ubogich rzemieślników tak jak darmo, bo brał od nich tyle tylko, żeby ich nie upokarzać datkiem, żeby sądzić mogli że się oszukał w najmie.

Powoli Marek odzyskał spokój dawny, i wesołość pierwszą; niekiedy tylko wspomnienie brata i podejrzenia wywołane przez Skarbnika chwilami go trapiły.

W istocie postępowanie Janka usprawiedliwiło złe o nim mniemanie: otrzymawszy bowiem czego żądał, zagarnawszy spadek po Staroście cały, osadziwszy rządząc w Żalickim kluczu, przybył z żoną do Warszawy, ale ani się ukazał u Marka.

Marek dowiedział się o nim, widywał go nawet zdaleka, ale nic nie mówił o tem żonie, aby jej nie gryźć; sam zaś westchnawszy po cichu, wylawszy łez kilka, usiłował zapomnieć, że miał brata. Nigdyby był za nie w życiu sam teraz pierwszy ręki do niego nie wyciągnął; nie żał mu było majątności wydarłej, ale bolało podejsię i zdrada, upokorzało oszukaństwo.

Zresztą nie miał ku niemu nienawiści i przebaczał mu chętnie, mówiąc sobie w duchu:

— Biedny obłąkał się goniąc za groszem, niechże choć tego szczęśliwie używa.

Traf jakiś chciał, żeby w sąsiednim domu państwo Porebscy zajęli mieszkanie. Codzień więc widywał go z okna Marek, usiłując tylko jak mógł najdłużej zakrywać go przed Anną; i nierychło też czeladź oznajmiła pani majstrowej, o p. Janie. Anna w początku pobiegła do męża z oznajmieniem nowiny i chciała z nim iść do brata, ale Marek wzięwszy ją do alkierza, odkrył jej prawdę.

Anusia popłakała trochę, pogniwiała się, przebaczyła nareszcie, i z pewną dumą rzekła:

— Dobrze, dobrze — niechże sobie przywiązańszych od naszych i lepszych serc szuka. Daj Boże, żeby je znalazł.

Tylko Maciejowa przebaczyć nie mogąc, srodze łajała Janka, nie przy bracie wprowadzie, ale przed Anną, gdy go nie było w domu.

Państwo Porebscy, przybywszy do Warszawy, poczęli wieść życie pańskie. Janek chciał sobie nagrodzić wycierpiane na wsi oczekiwania, i sygnąć złotem, torował drogę do towarzystwa wyższego. Ewa, której się chciało być piękną jeszcze, i udawać kobietę wielkiego tonu, była najstraszniejszym czupiradłem, jakim się szczyścić mogła Warszawa. Janek jako tako grał rolę

pana ale Jejmość tak była w niej pocieszna, że wkrótce zwabiła do siebie szyderskie towarzystwo, pragnące ją widzieć z bliska. Strój, mowa, powóz, ludzie, przyjęcie, mieszkanie, wszystko tu sobie odpowiadało; Jankowi i Jejmości głowy się zawracały, a nowi znajomi, opijając, objadając ich i ośmiewając, pożyczając pieniędzy, wyzywając w karty, wkrótce utworzyli koło nich brzęczycy rój much, które lgną do cukru.

Jak przewidzieć łatwo, Janek padł ofiarą oszustów, co przed nim odegrywali rolę ludzi wielkiego świata; po nich, biorąc ich za stopnie, myślał się wcisnąć w lepsze towarzystwo, ale do tego przystęp zawsze trudniejszy jest, niż sobie ludzie wyobrażają. Wprawdzie pieniądze są kluczem pewnym, ale tych przynajmniej mieć potrzeba bardzo wiele, a Janek zaledwie w stolicy podrzedną mógł w tym względzie grać rolę. Przecież dom się jego napełnił, i to niepoślednimi na oko figurami, które albo szczyliły się krajowemi i cudzoziemskimi orderami, albo tytułowały szumną. Między innemi, przyjacielem najpoufalszym był Baron Hintenfeld, którego żona podjęła się wychowaniem ostatecznem do stołecznych obyczajów zastosowaniem, obdarzyć panią Ewę. Baron Hilary Hintenfeld pochodzący jak mówił, ze starej Inflantskiej familji, szczylił się orderem św. Huberta, Bożogrobskim i św. Stanisława. Był to mężczyzna rośli, czarny, atletycznej postawy, ramion szerokich, z wąsem potężnym i bródką hiszpańską; nosił się z cudzoziemską, mówił głośno, zarywał na wojaka, i usiłował przybrać minę i pozór człowieka z wielkim światem oswojonego. W rozmowie cytował, często gęsto, książąt, hrabiów, Senatorów po imieniu; opowiadał o wielkich swych dobrach, o podróży, a szczególnie o powodzeniach, jakie go spotkały na dworze króla Ludwika XVI, gdzie lat kilka spędził, jak powiadał, codzień będąc na wieczorze i na grze w Tuilleries. Piękne brylanty, ogromny zbiór tabakierek, wiele kosztowności i błyskotek, któremi się obwieszać lubił, charakteryzowały go. Żona młodziuchna i piękna brunetka,

nie miała wprawdzie tyle pewności siebie, i nie mówiła tak głośno o sobie jak mąż, ale niemniej usilnie starała się grać rolę damy wielkiego świata.

Baron Hintenfeld przyjmował u siebie na krakowskim przedmieściu, w przepysznie urządzonych apartamentach, mnóstwo gości, których zwabiały, czarne oczy Baronowej, wyborny stół i gra. Gra stanowiła główne zajęcie w salonach pana barona; ale że w owym czasie upadku moralnego, grano wszędzie i ogromnie, nie dziwiło to wcale, ani odcechowywało szczególniej domu Infantczyka. Przegrywano wprawdzie u niego sumy bardzo znaczne i brat pani Grab..... królewskiej kochanki, dwa razy się był zgrał ze szczerem w domu barona; ale któż mu był winien. Hintenfeld sam nawet nie wygrał, tylko przyjaciel jego Pogorzelski, który zwykle bank trzymał. Łatwo namówiono Janka do gry przedstawiając mu, że przy niej robiły się najważniejsze znajomości, że ona wstęp dawała wszędzie, że wszyscy ludzie wyższego stanu grali. Janek choć chciwy i skąpy, a może właśnie dla tego, że skąpy i chciwy, począł grać w początku bez namietności, wkrótce potem zajadło i wściekło; szczęście jednak mu nie służyło.

Ale choć najlepiej znał fundusze swoje i stan majątkowy, teraz gdy doszedł szczybla, na którym stać pragnął, durzył się sam sądząc niewyczerpanie bogatym; wszelkiego rodzaju straty pieniądze, zdawały mu się mało znaczące. Codzień widując po kilkanaście tysięcy czerwonych złotych na stolikach gry, począł jak wszyscy gracze mniej coraz ważyć wydatki pieniężne i wartość gorsza.

Tymczasem sama pani opływała w rozkoszach, rozsiedając się w pasowej swej karecie, za którą dwóch galonowanych i pudrowanych lokajów stawali na podziw miastu w liberji seledinowej z pasowym. Cztery przepyszne taranty woziły Jejmość do kościoła i znajomych, uginając się pod złocistemi chomaty. Wszystko koło niej co tylko złotem lub złocistem być mogło, świeciło się tym czarownym kruszczem. We własnem ubraniu,

jak w ubraniu koni, świecidełka panowały; w pokojach stołeczki nawet pod nogi, choć malarskiem złotem pościągano.

Rzuciwszy się w to życie, które było długiem marzeniem dla Janka, Porebski dążył teraz do nowych celów. Dręczyło go że nie miał ani urzędu, ani orderów, ani wstępu na królewskie pokoje, gryzły go spotykane w dopięciu tych ostatnich pożądań trudności; ale że dyplomy z okienkami na ordery już się sprzedawać poczynąły, łatwo wkrótce zaspokoić się mógł św. Stanisława wstęgą, którą włożył pierwszego dnia pod szlafrok od rana w niej chodząc. Jakieś Łowczowstwo zawakowało i nowe starania o to nie bez kosztu uczyniły go przecie panem Łowczym, co go w pewien sposób postawiło na świecie, jakkolwiek małą bardzo rzeczą było Łowczowstwo każde. Janek mając tymczasową kopertę, sięgał już myślą wyżej a wyżej. Jakieś tam drwiny z jego tytułu wkrótce były przyczyną, że go prawie porzucił i o nowy starać się począł.

Jejmość tymczasem w miarę czasu, jakie na wychowanie swe nowe łożyła, stawała się coraz śmieszniejszą, nabierając odwagi, z którą prawda śmiało niestworzone rzeczy. Rzuciła się wkrótce w francuzczyznę, i wygadywać poczęła najosobliwsze androny, któremi bawiła się cała Warszawa.

Rok za rokiem upływał lecąc jak strzała, a z podziwieniem obojga państwa, stanąwszy u szczytu, nie czuli się tak szczęśliwi jak marzyli. Pani zmuszona w pośledniejszym kręgu towarzystwa się obracać, postrzegała powoli, że są rzeczy których dostąpić próżno pragnie, są drzwi które się jej nigdy nie otworzą, są ludzie co ją nigdy nie przyjmą. W Warszawie też dopiero przekonana się, że nie mogła liczyć się do piękności, w których rzędzie stać życzyła, pamiętając młodość więcej niż należało.

Jan po kilku dniach zażądał Orła Białego, po kilku innych marzył o urzędzie ważniejszym niż tytularne jakieś Łowiectwo! Wielkość której dosięgnął, wydawała mu się lichotą, stopniem tylko do nowych. Tymczasem

pragnąc pójść wyżej, spotykał nieprzełamane zawady. W dodatku nieprzebrane bogactwa przebierać się począł z pomocą barona Hintenfeld i pięknej baronowej, która Janka wzięwszy za powiernika, zwierzyła mu się, iż mąż jej wiele odmawiał. Janek chętnie pożyczając począł pięknej baronowej, a w zamian odbierał takie uśmiechy, takie dowody uczucia!...

W następującym roku pobytu w Warszawie, który był nieurodzajny i niehandlowy, Żalicy nie dały zwykłej intraty, i potrzeba było na życie i karety dług zaciągnąć. Gra też szła coraz niepomyślniej panu Janowi, a Ewa coraz szumniej na swoje wydatki nie skąpiła jego kieszeni: długi poczęły znakomicie wyrastać. Pani baronowa ze swej strony uczyniwszy raz początek, co tydzień prawie nowych pożyczek od pana Jana potrzebowała; jakże jej było odmówić?

Pan Jan Porębski wejrzawszy raz w chwili wolniejszej w stan swoich interesów, załakł się i poszedł do Ewy rankiem, aby jej oznajmić jak stali niebezpiecznie. Małżonkowie oddawna oddzielne mieli apartamenta; zapukawszy więc do pokoju Jejmości i otrzymawszy pozwolenie wnijsia, Jan wsunął się do jej sypialni.

Był to najniesmacniejszy w świecie gabinet, przystrojony na pocięgę ludziom, którzy wstęp do niego mieli. Ogromne łóż złociste, podniesione na stopniach wznosiło się w zagłębieniu, pokryte baldachymem adamaszkowym z frendlami, sznurami i kutasami złotymi, w rogach i na wierzchu zdobiły go pióra strusie pasowe. Ściany obite były niebiesko ze złotem, a firanki niebieskie i pasowe krzyżowały się w oknie. Firanki te całe były oszyte frendlą złotą, galonami i związywane sznurami złocistymi; na kominie był zegar od alabastru, złota, marmuru czarnego, z figurkami z porcelany, kwiatami robionymi i szklannymi, jak u żyrandola świecidełkami. Obok niego dwa świeczniki brązowe z marmurem. Dywan na podłodze jaskrawy i mnóstwo sprzętów niedobrych, krzyczących wadziły się z sobą.

Jejmość fryzowano właśnie, ale się miało ubranie

głowy wylysiałej ku końcowi, a Janek odprawiając francuza co ją tapirował i garderobianę, odezwał się z westchnieniem siadając w berzerce:

— A co pani? czas nam pomyśleć o sobie.

— Jakto kochańciu?

— Przyszedłem pomówić z tobą serjo, i jest o czem.

— A! duszko, mam dziś *mingrenię* i *szpazmy*.

— Odłożmy to dla gości.

— Cóż to jest rybko, czego chcesz? — czuję serca bicie gwałtowne, przerażasz mnie.

— Dotąd nic jeszcze pani moja, ale grozi nam niebezpieczeństwo.

— A! menażuj moją delikatność, nie dobijaj mnie, ty wiesz stan mojego zdrowia.

— Kochanko! z uśmiechem rzekł Janek, to dobre dla gości, ale my cośmy z sobą razem koło indyków w Żalicach chodzili...

— Na Boga! posłysz nas — mdleję.

— Słuchaj Ewo, rzekł Jan — jesteśmy jeśli nie zrujnowani w tej chwili, to ruiny bliżej; czas radzić, nie porachowaliśmy się z naszą fortuną; i oto poczynając się przebierać jej, wkrótce możemy nic nie mieć.

Ewa zapomniawszy o mdłościach, i poskoczywszy z krzesła zaczerwieniona, zawołała:

— Bo w karty przegrywasz — bo w karty przegrywasz!

— Ja! ruszył ramionami Jan, a paniż to mało tracisz co dzień? Obojeśmy winni.

— Nie prawda! nie prawda! — odparła żona — tyś winien, ty, albowiem bym ją traciła, żebyś mi w początku nie mówił: trzeba się zastawić a postawić.

— Cicho! cicho! cicho! Kto wie, słuchając nas może podo drzwiami, a gdy się jeno wieść rozejdzie, ratunku już nie będzie, rzucą się na nas wierzący zewsząd.

Jejmość padłszy w krzesło rozplakała się.

— Trzeba nam — rzekł Janek, pod pozorem do wód, wyjechać do Żalic i podłatać pracą co się utraciło.

— Wyjechać z Warszawy! ale ja nie wyżyję na wsi. Janek się rozśmiał, ruszył ramionami i rzekł po

cichu: Nie grajmy z sobą komedji — mówmy rozumnie; na Żalicach i przykupionych wioskach mamy już 200,000 długu, jeszcze z tego wynijść możemy, ale później nie czas będzie.

— A przecież Żalice i te wioski warte są więcej 600,000! sam tak mówiłeś.

— Tak jest, pani moja, ale na tem 200,000 co dzień rosnącego długu, to rzecz nie mała.

— Ja nie potrafię teraz wyżyć na wsi!

— Ba! będziesz musiała. To powiedziawszy Janek wstał i przeszedł się po pokoju. Naradzmy się, rzekł, kiedy wyjeżdżamy; trzeba zawczasie mówić o tem. Kilka tygodni będziemy jeszcze żyć jakśmy żyli, potem niby do wód, usuniemy się na wieś.

— Rób co chcesz, ale ja umrę! — odparła Ewa padając na krzesło.

Jan ruszył ramionami jakby chciał powiedzieć: Umieraj sobie, i wyszedł z pokoju. Pomimo tej sceny rannej, która panią Łowczyńską nabawiła *szpasmów* i bólu głowy na dzień cały, a której tajemnica zachowywała się między małżeństwem, życie obojga ani na włos się nie zmieniło. Ewa nazajutrz zaraz, jakby na złość porobiła nowe ogromne wydatki, a Jan tegoż wieczora, próbując szczęścia i usiłując się odegrać u barona, puścił się tak zapamiętale w karty, że nim dzień zaświtał, przegrał na słowo do 15,000 czerwonych złotych, precjoza, konie, powozy i co tylko na kartę mógł postawić.

Baron bez żadnej ceremonji, uzyskawszy obligi formalne, zabierał się drogą sądową dochodzić swej należności, a biorąc pochód do zerwania stosunków przyjaźni z panem Janem, do czego dawno szukał tylko powodu, wyzwał go na pojedynek, rzucając mu w twarz ostatni list jego pisany do baronowej.

Spotkanie wszakże do skutku nie przyszło, bo Jan wyjechał nagle na wieś, zostawując żonę samą w mieście.

Wierzyciele bliżsi, na hasło dane przez barona, rzucili się zajadłe na ruchomości pozostałe w mieście, i wyścigając się poszli do majątku. Baron nabywał dłu-

gi, i nim Janek wykretnemi, zmyślonemi ciężary potrafił zakryć majątek, już ruina jego stała się widoczną. Ewa uchodząc wstydu i niedostatku, który jej zagrażał, ostatnim powozem nocą umknęła z Warszawy za mężem. Interesa obojgu tak nieszczęśliwy wzięły obrót, że najbieglejsi prawnicy obiecywać nie mogli Janowi nic nad zupełną ruinę. Janek rachując że lepiej było pani majątek na swój przerobić, wyrwał sobie sam sposób bronięcia się wierzycielom, choć chwilowy i niegodny. Żalice i przykupione wioski zajęto, zostawując dziedzicom lichy domek i sustentację ubogą.

Ewa wydzieraa oczy mężowi, mąż wściekał się ze złości bezsilnej, a życie tych dwojga nieszczęśliwych stało się pasmem nieznośnych swarów, niekiedy do boju przychodzących. Nareszcie sama pani tknięta paralizem, umarła. Janek po ubogim pogrzebie, odzyskawszy trochę energii, jął się zapamiętale procesu, i z pomocą skarbnika Śliwickiego począł pracować nad zepchnięciem swych prześladowców (tak nazywał wierzycieli). Nieszczęściem ci, co najprawdziwsze i najsprawiedliwsze mieli należności, najmniej opatrzeni byli w w ich ubezpieczeniu; ubogich więc rzemieślników puszczone z kwitkiem, i masa powiększyła się tą likwidacją bezecną. Ale z baronem nie tak było łatwo, bo ten się pilnował, i gdyby nie to, że jakiś traf szczęśliwy na szulera nastąpił większego jeszcze, byłby Janek padł jego ofiarą.

Po długich mękach i pracy, dług barona już w drugich rękach będący, bo przegrany z kolei, potrafił Janek zbyć dożywotnią pensją, na którą się zgodził nowy posiadacz. Pozostawali jeszcze inni wierzyciele, z któremi staraniem Śliwickiego poczyniono układy jak było można, tak że Jan pozostał przy Żalicach i Wólce, resztę dając na pastwę.

Wszystko to, cośmy tu w kilku słowach opisali, dla Jana, który wcześniej szafował życiem, przyspieszyło starość. Zgryzoty, praca nowa, zbytki, ciągle wrzące w sercu nienawistne uczucia, wyczerpały z niego siłę ostatek.

Zestarzały, zgrzybiały, łysy, kaszlący, schudły,

z oczyma wpadłemi i gorączką wewnętrzną, co pali ludzi szukających na ziemi szczęścia w rzeczach, które go dać nie mogą, po kilku latach pan Jan Porębski, kawaler orderu św. Stanisława, Łowczy... powrócił do Warszawy. Stan rzeczy krajowych mamił go nadzieją pochwycenia jeszcze tej godności jakiejś, o której dotąd niezrażony marzył. Wszystko było w ruinie i zamieszaniu, a z ruiny i zamieszania korzystać najłatwiej, Starostwo grodowe wakujące opłaciwszy suto, przyszło nareszcie uwieńczyć usiłowania jego. Ale teraz, gdy je posiadał, starostwo zdawało mu się niezmiernie małą rzeczą przy kasztellanji chociażby drażkowej; przy krzesle w senacie!

— Czemu bym ja zasiąść tam nie miał? — pytał się codzień siebie, czemu? i odpowiedzi nie mógł znaleźć, tak się czuł godnym wszystkiego co pragnął.

Starość nadchodząca bez pory zawiadła też nim w sposób, jakim władza podobnymi jemu. Chciał używać gdy już nie mógł, i wylał się na rozpustę i zbytki. — Nie brakło wówczas w Warszawie pięknych kobiet frymarzących sobą, łatwych pochlebców i towarzysztwa, które pobudzało pana Jana i podżegało go do rozpusty.

Dawna namietność do gry i kart wróciła; i czego nie zabrały Róże, Emilje i Ernestyny, pochłonał stolik zielony. Starosta też sprawiał bale, dawał wieczory, i znowu po pierwszymu na wystawę się sadił. W rok czy dwa, długi nowe do reszty pierwszych przyroście już zastraszać poczynają, ludzie usuwać się myśleli od pana Jana i chłód zrujnowanych obwiewał go zewsząd. Nareszcie na dany znak przez jednego z wierzycieli, runęli wszyscy na majątek, a widząc się bez nadziei ratunku, Jan co nie miał pojęcia innego życia nad to które prowadził, wziął truciznę w kielichu wina i w męczarniach życie skończył.

Tymczasem szewc pracował, śpiwając wesoło. Rodzina jego pomnożyła się jeszcze dwoma synami, a oszczędność dozwoliła przykupić drugą sąsiednią kamieniczkę. W izbie majstra nie się nie zmieniło, tylko czas spowaźnił twarz Marka, i piękną Annę zmienił w podżyłą kobietę, zawsze miłą jeszcze i świeżą.

Rządka chmurka przeleciała po niebie pogodnem pożycia Anny i Marka; i były to chyba strapienia drobne, powszednie, nieuniknione, które są życia wszelkiego warunkiem.

Jedni starzeli, drudzy rośli, a warstat majstra rozlegał się rozmową swobodną, śmiechem wesołym, lub pieśnią pobożną. — Niekiedy wspomnienie Jana zasepiło ich czoła, ale nigdy Marek żałując brata nie pożałował majątku. Miał dosyć dla siebie i dzieci, bolał tylko nad tem, że mógł mieć serce, które od niego uciekało. Nieraz spotkali się z sobą, ale szewc udawał że nie zna pana. Pan ani oczu nie podniósł na szewca. Dopiero na łożu boleści, gdy straszliwe męczarnie krzyki rozpaczcy wyrwały mu z duszy, Jan ujrzał Marka prze siebie. Szewc nadbiegł go ratować z lekarzem, zasłyszawszy o wypadku. Ale już było za późno, chłodną tylko dłoń uściśnął, i pomodliwszy się u łoża zmarłego, pogrzebał go swoim kosztem, bo wierzyciele natychmiast wszystko zagarnęli.

Taki był koniec Jana; a Marek? żyje podobno do dziś dnia. Słyszałem go śpiwającego Godzinki w kościele św. Jana, głosem jeszcze czystym i silnym. Anna i on siedzą przy starszym synu, a ze trzech młodszych jeden jest stolarzem, drugi kowalem, trzeci krawcem. Marek nie chciał ich próżniakami na świat wyprowadzić, i każdemu dał rzemiosło, choć ściśle biorąc, obejść by się bez niego mogli; bo Bóg poszczęścił poczciwemu, i jałmużny jego stokroć urosły, a cztery kamienice w mieście i kapitalik jeszcze uczyniły go prawie bogatym. Nie żyje wszakże jak bogaci, ani żyć synom dozwala.

— Masz do zbytku, mówi — podziel się z temi, co na potrzeby nie mają, sam nie używaj nad miarę, bo

życie obrzydnie. — Pracuj i kochaj, a będziesz szczę-
wy. Szczęście w nas jest samych.

Ostatniemi czasy słyszałem, że Marek nabywszy
Wólce Lutyńskiej kawał gruntu, na miejscu chaty
miennego, postawić chciał domek dla żony i siebie
am naostatek dni zamieszkać.

K O N I E C.

